

# Informator krajoznawczy

Nr 8/48 (sierpień) 2013



Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze  
Oddział „Sudety Zachodnie” Jelenia Góra  
Komisja Krajoznawcza



## Wprowadzenie

W sierpniowym Informatorze Krajoznawczym przedstawiam relacje z kolejnego spaceru krajoznawczego, podczas którego odwiedziliśmy Pieczarę Liczyrzepy oraz ze spaceru krajoznawczego szlakiem obiektów militarynych znajdujących się na Gapach. Dzielę się także swoimi spostrzeżeniami z wycieczki Rajdu na Raty, którą tym razem poprowadziłem w Karkonosze. Była to niezwykła wycieczka, zważywszy na panujące rano warunki atmosferyczne. Uczestnicy, którzy postanowili, mimo tak złych prognoz pogodowych, wyruszyć w góry nie tylko, że nie zawiedli się ale mieli okazje przeżyć coś zupełnie wyjątkowego. Myślę, że nikt z nich nie żałuje swojej decyzji. Cieszę się, że biorący udział w naszych wycieczkach są ludźmi wytrwałymi i chcącymi poznawać nowe doznania.

Ponieważ w sierpniu brałem udział w Centralnym Zlocie Aktywu Krajoznawczego, który odbył się w Białymstoku i Supraślu, muszę pokazać jak piękne są to tereny. Może dzięki temu ktoś postanowi pojechać w tamte strony. Na pewno nie zawiedzie się. Gwarantuję!

Zapraszam do lektury.

**Krzysztof Tęcza**

Spis treści:

- Str. 1 Wprowadzenie  
Str. 2 Sierpniowy spacer krajoznawczy 2013 – do Pieczary Liczyrzepy  
Str. 7 25. wycieczka Rajdu na Raty 2013 – do Pieczary Liczyrzepy  
Str. 13 Spacer krajoznawczy na Gapy  
Str. 17 Moje wrażenia z CZAK-u 2013

## **Sierpniowy spacer krajoznawczy 2013 – do Pieczary Liczyrzepy**

Korzystając z ładnej pogody znowu wyruszyliśmy na spacer krajoznawczy. Tym razem wybraliśmy się na trasę już w pierwszą sobotę sierpnia czyli 03.08.2013 r. Spotkaliśmy się na przystanku Agnieszkowa w Jagniątkowie. Już po wyjściu z autobusu było widać, że przepowiadacze pogody nie pomylili się. Zapowiadał się niezły upał. W sumie to dobrze, zwłaszcza dla rosnących na widocznym zboczu winorośli. Przemykamy koło ciekawej kapliczki wystawionej w intencji kobiet chorych na raka piersi i docieramy do miejsca wypoczynkowego utworzonego zaraz przy wejściu do Karkonoskiego Parku Narodowego. Oczywiście robimy tu mały odpoczynek. Nie wszyscy jedli jeszcze śniadanie.

Gdy nabraliśmy sił a plecaki były nieco lżejsze ruszyliśmy pod górę tak jak prowadzi szlak turystyczny koloru czarnego. Dzisiaj mieliśmy pójść bardzo ciekawą drogą leśną o nazwie „Droga na Dwa Mosty”. Nie jest ona wykorzystywana przez turystów a szkoda. Naprawdę idzie się nią bardzo lekko a widoki jakie z niej się roztaczają powodują, iż co chwilę stajemy by nasycić nimi swoje oczy. Gdy tylko opuściliśmy znakowany szlak prowadzący do Petrovki wydawało nam się, że słyszymy szum wody płynącej w niewidocznym potoku. Po chwili jednak nie byliśmy tego pewni. Może to jednak wiatr wiejący w koronach drzew? Chociaż gdy dotarliśmy za pierwszy zakręt drogi słyszalny szum zaczął wyraźnie się nasilać. Docierał on jednak wyraźnie z dołu. Po chwili dostrzegliśmy odbijające się w małym oczku wodnym promienie słoneczne. To powinien być Sopot – myślimy. Ale gdzie on jest? Podchodzimy do zbocza jednak nie widzimy żadnego ciekłu wodnego. Dopiero po około stu metrach dostrzegamy pojawiającą się wodę pomiędzy skałami leżącymi w nikłym korycie, którym powinien płynąć porządny strumyk. Może to przez te upały. Pewnie obniżył się poziom wód gruntowych. Wszystko to jednak jest jakieś dziwne, takie mało wyraźne. Wcale nie wygląda to na górski potok, nawet w okresie suszy. Nieco dalej, za kolejnym zakrętem, wszystko wyjaśnia się. To oczywiście nie Sopot. To jego dopływy. Takie ledwo sączące się strumyczki. Jeden jest prawie niewidoczny, a drugi bardziej daje nam znać o swoim istnieniu szumem wody. W miarę zbliżania się do niego słyszymy jak woda ścieka po głazach tworzących jego koryto. To jednak nie to!

Idziemy zatem dalej tą przyjemną leśną drogą, chociaż może powinienem powiedzieć leśnym duktem? Wsluchujemy się w śpiewy dochodzące gdzieś z góry. To ukryte w koronach drzew ptaki postanowiły umilić nam nasz spacer. Nie trwa to jednak zbyt długo. Wkrótce słyszymy szum wody. Tym razem jest on wyraźny, a w miarę podchodzenia coraz mocniejszy. Chociaż jeszcze nie widzimy tego to musi to być coś większego. Natężenie hałasu jest coraz większe. Wszyscy wypatrują przyczyny już prawie huku. Każdy chce być pierwszym, który powie: No i jest! Nie mniej prawie wszyscy dostrzegli równocześnie płynący strumyk. Jest spory. To spadająca nim woda, przetaczająca się po powalonych drzewach i głazach powoduje taki hałas.

Docieramy do betonowego mostku ułożonego na kamiennych podporach. Resztki metalowych barierrek zwisające nad wodą świadczą o tym, że niejednen samochód zwożący drzewo musiał o nie zaha-

czyć. Tuż przed mostkiem dostrzegamy potężnego buka, który dosłownie rozpołowił się a jego główny pień wypadł ze środka. Teraz porośnięty hubami leży wzdłuż drogi. Pozostałe kikuty pnia stoją na swoim miejscu i ukazują jak wielka musiała to być siła, która rozerwała drzewo na strzępy.

Muszę zdradzić, iż zaraz za mostkiem odchodzi w prawo pod górę, bardzo wyraźna ścieżka. To właśnie w nią często zapuszczają się niewprawieni turyści, którzy po raz pierwszy próbują dojść do chatki AKT, korzystając ze skrótu. Oczywiście wychodzą nią w zupełnie innym miejscu, zwłaszcza że nie jest to jeszcze ta właściwa droga, w którą należało skręcić. Ale nie ma w tym nic złego. Z reguły kończy się to tak, że turyści ci, umęczeni i przemoczeni, docierają ponownie do czarnego szlaku. Nic więc im nie zagraża. A taka „przyjemność” to nauka na przyszłość by gdy się nie zna terenu nie zbaczać z oznaczonych szlaków turystycznych.

Dalej idzie się nam bardzo fajnie gdyż wszędzie leży mnóstwo trocin amortyzujących nasze kroki. Ale to oczywiście tylko do kolejnego zakrętu, za którym następuje pełne zaskoczenie. Można tutaj przeżyć prawdziwy szok. Oto na krzyżówce z lewej do dołu prowadzi asfaltowa droga. Nie ma na niej żadnych dziur czy łat. Jej nawierzchnia jest nienaganna. Coś niesamowitego. Może warto korzystać z tej drogi w okresie zimowym, zwłaszcza że obok na drzewie przymocowano tabliczki jakimi oznacza się narciarskie trasy biegowe. Gdy ochłoniemy zauważymy, że szum wody przechodzi tutaj w szum wiatru, który wiejąc w konarach drzew, początkowo nastraja nas przyjemnie, jednak z czasem swoją siłą wywołuje pewne obawy o pogodę. Najlepiej jednak nie zwracać na to uwagi tylko przyglądać się kwitnącym na poboczach pięknym kwiatom.

Mijamy kolejną ścieżkę odchodzącą w prawo i dalej podążamy wyraźnie pod górę. Nie jest to jednak taka stromizna jak na Petrovkę więc nie zmęczymy się zbyt. Zwłaszcza, że stracimy chwilę na obejrzenie pięknych widoków jakie z tego miejsca rozciągają się na kotlinę. Pośrodku widać Jelenią Górę. Oczywiście widać nieśmiertelne kominy po Celwiskozie. Widać Góry Sokole ale i kolejne pasma górskie otaczające kotlinę. Podzielę się w tym miejscu pewnym sekretem. Jeśli wyruszymy z Jagniątkowa odpowiednio wcześniej to możemy w tym miejscu, patrząc w prawo, dostrzec księżyc idący już spać ale jeszcze (albo już) oświetlony pierwszymi promieniami słonecznymi. Niesamowity to widok i choćby dla niego warto tu przyjść.

Idąc dalej dochodzimy do potoku Czerwień, który płynie Doliną Czerwieni. Po chwili osiągamy Kozaczką Dolinę gdzie spotykamy ludzi zbierających jagody. Zaglądając do ich wiaderk aż im zazdrościmy. Nie mamy jednak czasu by się do nich przyłączyć. A i pewnie im wcale na tym nie zależy. Z za zakrętu wyłaniają się jakieś barierki. Gdy do nich dochodzimy widzimy betonowy most wsparty na metalowych szynach. Nad nim na wprost znajduje się Garb (1087 m n.p.m.) ze skałką o nazwie Bielec. Oczywiście stąd ich nie widać. W dniu dzisiejszym jest to najwyższe położone miejsce, do którego dotarliśmy. Teraz będziemy szli już tylko w dół. Niektórzy sądzą, że ów most to jeden z dwóch tytułowych. Mają rację. Jednak nie do końca. Jest to bowiem pierwszy a nie drugi z tych mostów. Nie można przecież liczyć tego pierwszego oddalonego stąd o dobry kawałek drogi. Gdybyśmy go liczyli to wyszłoby nam razem trzy mosty i wtedy moglibyśmy powiedzieć tytułem znanego filmu „O jeden most za daleko”.

Ruszamy dalej świadomi tego, że po przekroczeniu Czerwieni wyjdziemy z terenu miasta Jelenia Góra do gminy Podgórzyn. Zaraz za zakrętem osiągamy kolejny most położony na dopływie Czerwieni. I tak oto dochodzimy do końca „Drogi na Dwa Mosty”. Dalej pójdziemy Celną Droga, przy której zobaczymy kilka kamieni z wrytymi na nich datami. Pierwszy znajduje się w niewielkiej odległości od most-

ku. Posiada on wyrytą datę 1926. Zanim jednak udamy się tą drogą idziemy starym korytem strumienia do miejsca, w którym jego wody skierowano sztucznie w nowy ich bieg. Robimy sobie tutaj mały odpoczynek. Niektórzy zdejmują buty by wymoczyć w zimnej wodzie nogi. Ciekawe czy dadzą radę założyć je z powrotem. Podchodzimy kilka kroków wyżej by napić się czystej wody ze strumyka. Jest ona chłodna i nieco goryczkowata. Zdradzę, że z tego miejsca odchodzi niedawno oczyszczona ścieżka prowadząca skrótem do niebieskiego szlaku wiodącego do Odrodzenia. Na jej przejście będziemy potrzebowali około piętnastu minut.



*Skąły z pieczarą Liczyrzepy*

Po zjedzeniu śniadania i deseru (świeże jagody) ruszamy wspomnianą Celną Drogą, przy której odszukujemy kolejne kamienie z umieszczonymi na nich datami. Mimo iż schodzimy Doliną Czerwieni szum wody nią płynącej szybko zanikł. Słyszymy za to wiejący wiatr. Po drugiej stronie doliny widzimy Bażynowe Skąły rozłożone na Hutniczym Grzbiecie. Droga ma taki spadek, że nawet nie wiemy kiedy

dochodzimy do szlaku koloru niebieskiego. Spotykamy tu turystów schodzących z Odrodzenia. My skręcamy w prawo do lasu i bardzo słabo widoczną ścieżką idziemy do leśnej krzyżówki, na której stoi spory paśnik. Jest to znak, że gdy podążymy prowadzącą od niego drogą leśną dotrzemy do „Pieczary Liczyrzepy”. Zanim jednak ją zobaczymy idziemy na skraj lasu by zobaczyć wspaniały widok jaki rozpościera się z tego miejsca. Najważniejsze jest jednak to, że oglądając Pielgrzymy i Słonecznik możemy dokładnie prześledzić trasę wycieczki planowanej na jutrzejszy dzień.

Ponieważ słońce wciąż przygrzewa (mamy ponad 30 stopni) jesteśmy już nieco tym zmęczeni. Robimy się ociężały i idziemy nieco wolniej. Schodzimy zatem zboczem na dół w stronę potoku Podgórna. Docieramy do utworzonego w wodzie sporego wypłylenia, w którym można się ochłodzić. Widzimy stąd potężne skały gdzie w pieczarze chronił się Liczyrzepa. Postanawiamy zrobić sobie w tym wyjątkowym miejscu pamiątkowe zdjęcie. Gdy to uczyniliśmy nagle jedna z uczestniczek wycieczki osuwa się na ziemię. Myśląc, że to przez panujący upał, cucimy ją i chłodzimy wodą. Jako prowadzący zastanawiam się co dalej robić. Jednak gdy ta odzyskała przytomność twierdzi, że takie sytuacje przydarzają jej się często postanawiam iść dalej. Biorę ją pod pachę i bardzo ostrożnie idziemy ścieżką w stronę wodospadu na Podgórnjej. Tam w razie czego powinna dojechać karetka. Nie jest mi lekko zważywszy, że po drodze znalazłem piękny pasiasty kamień, który wsadziłem do plecaka. Jakoś jednak sobie radzę. Niestety gdy już prawie osiągnęliśmy wysokość mostku przy żółtym szlaku zauważyłem, że moja podopieczna robi się jakaś dziwna. Gdy sadzałem ją na skale ta ponownie zrobiła się wiotka. Z pomocą będących najbliżej mnie turystów położyłem ją na ścieżce tak by jej nogi były nieco wyżej niż głowa. Tym razem podjąłem decyzję o wezwaniu pomocy.



*Ratownicy GOPR przybyli na pomoc*



*Szykowanie turystki do transportu*

Gdy uczestnicy wycieczki przynosili ze strumienia zimną wodę, którą chłodziliśmy nieprzytomną wezwane ratowników. Dyżurny odbierający telefon stwierdził, że udzielana do tej pory pomoc jest właściwa i kazał spokojnie czekać na przybycie ekipy ratunkowej. Ponieważ na wycieczce było kilkanaście osób zwróciłem się do najlepiej obeznanych z górami by zabrali wszystkich i poszli do znajdującego się niedaleko lokalu o nazwie „Biały Miś” i tam czekali na nas, lub jeśli nadejdzie pora odjazdu jedyne jaki nam został autobusu, by pojechali do domu. Ja z kilkoma bezpośrednio zaangażowanymi w udzielanie pomocy osobami czekałem na pomoc. O dziwo, nie wiem czy to jest norma, ale ratownicy z Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego Grupy Karkonoskiej zjawili się w ciągu dwudziestu minut. Nie spodziewaliśmy się tak szybkiego ich przybycia. Co prawda poszkodowana już odzyskała przytomność, jednak tym razem nie pozwoliłem jej wstać. Pierwszy z przybyłych był wyposażony w odpowiedni sprzęt i zaraz po jej zbadaniu i podaniu tlenu przygotował ją do transportu. W chwilę później pojawili się kolejni ratownicy. Ponieważ teren był zbyt trudny na transport mechaniczny szybko zapakowano poszkodowaną na nosze i wyniesiono ją przez mostek na drugą stronę Podgórznej, gdzie kilkaset metrów dalej czekał samochód. W tym momencie wiedzieliśmy już, że jest ona bezpieczna. Wtedy jednak okazało się jak wielkie emocje towarzyszyły nam podczas całego zajścia. Byliśmy wypompowani. Nie mogłem jednak patrząc na to pozostawić oczekujących na nas turystów samych sobie. Ruszyliśmy zatem w stronę umówionego miejsca. Nawet nie podziwialiśmy po drodze wspaniałego wodospadu. Szybko wdrapaliśmy się pod stromą górę i już byliśmy w „Białym Misiu”. Byli tam wszyscy. Spokojnie czekali na nas. Mogliśmy teraz ochłonać i uzupełnić płyny. Nie trwało to jednak zbyt długo gdyż zaraz mieliśmy autobus do Jeleniej Góry.



*Transport turystki do stojącego kilkaset metrów za strumykiem samochodu*

Tym razem wszystko skończyło się dobrze. Mam jednak na przyszłość apel do uczestników naszych wycieczek. Jeśli macie jakieś problemy zdrowotne a pogoda wyraźnie je pogarsza zastanówcie się poważnie nad wyruszeniem w góry, a przynajmniej uprzedźcie o tym prowadzącego. W tym wypadku byliśmy blisko cywilizacji ale gdybyśmy byli w bardziej dzikich warunkach, a pogoda by nam nie sprzyjała, mielibyśmy spory kłopot. Wiadomo, że prowadzący zajmie się osobą potrzebującą pomocy ale nie może pozostawić bez opieki pozostałych turystów.

## **25. wycieczka Rajdu na Raty 2013 – męska wyrpa w Karkonosze**

W niedzielę 4 sierpnia 2013 roku miałem poprowadzić kolejną wycieczkę z cyklu „Rajd na Raty”. Pomyślałem sobie, choć nie do końca jest to w zgodzie z podstawowymi założeniami przyświecającymi tej imprezie, że raz do roku pozwolę sobie wyprowadzić turystów w wyższe partie naszych pięknych gór. „Rajd na Raty” to impreza propagująca turystykę pieszą, jednak z racji miejsca, w którym mieszkamy nie ma możliwości ominięcia otaczających nas gór. Dlatego kierownik Rajdu, Wiktor Gumprecht zmodyfikował nieco regulamin byśmy mogli godzić turystykę pieszą z górską. Przez bowiem ponad 40. lat istnienia imprezy zorganizowano dobrze ponad 1500 wycieczek. Dlatego musimy szukać nowych terenów by nie chodzi wciąż tymi samymi szlakami. I tu właśnie kłaniają nam się omijane do tej pory góry. Także te po czeskiej stronie. Nikt jednak nie ma o to pretensji, że czasami mamy nieco cięższą trasę. Po prostu przychodzi wtedy mniej osób, ale za to takich, którzy są pewni, iż dadzą sobie radę i nie będą przeszkodą dla innych. W roku obecnym poprowadziłem już jedną wycieczkę wymagającą od jej uczestników dobrej kondycji i samozaparcia by nie dać za wygraną. Oczywiście skala trudności nie była z góry założona, zmieniła się ona poprzez raptowne załamanie pogody. Ponieważ grupa była mała, zaledwie 5 osób, znając je i wiedząc jak sobie poradzą, nie zrezygnowałem z marszu do schroniska „Pod Łabskim Szczytem”. I miałem rację. Potoki wody jakie musieliśmy pokonywać idąc pod górę nie zniechęciły nikogo. Trafiło się jednak wtedy tak, że przybyli sami mężczyźni. Nie mówię

tutaj oczywiście, że panie nie wytrzymałyby tej trasy. Znam kilka dziewczyn, którym kondycji moglibyśmy tylko pozazdrościć. Różnica polega tylko na tym, że mężczyźni są mniej wymagający, łatwiej ich przekonać do karności w sytuacjach zagrożenia, no i można wobec nich śmiało użyć w skrajnych sytuacjach „bezpośrednich środków przymusu” ratujących życie bez obawy, iż się obrażą o to.



*Wyłaniająca się z za chmur Śnieżka*



*Odoczynek na Polanie*

Gdy dzień wcześniej prowadziłem grupę w ramach „Spaceru krajoznawczego” pogoda była wyśmienita. Może nawet zbyt dobra. Pozwoliło mi to jednak na pokazanie z miejsca zwanego Pieczara Liczyrzepa trasy dzisiejszej wycieczki. Było to tak zachęcające, że niemal wszyscy obiecali stawić się rano na niedzielną wycieczkę. Sporo innych osób dzwoniło zapowiadając się na jutro. Wszystko to wywoła-



to u mnie lekki niepokój czy aby nie przyjdzie tak dużo turystów, że zamiast pokazywać im piękno naszych gór będę musiał skupić się na tym by nie zgubić kogoś. Coś jednak niepokojącego wisiało w powietrzu. Wieczorem nastąpiło załamanie pogody. Zaczął padać deszcz. Nie było to takie straszne. Jednak gdy przez dłuższy czas nie ustawał, a wręcz wzmagająca się jego intensywność, gdy coraz mocniej wiał wiatr, było to mocno niepokojące. W nocy rozpętała się prawdziwa burza. Pioruny raz po razie rozświetlały mroki nocy. Naprawdę było strasznie.



*Widok na Śnieżkę i Strzechę Akademicką*



*Chmury przeganiane przez wiatr*

Ponieważ osoba prowadząca wycieczkę musi brać pod uwagę bezpieczeństwo jej uczestników, zacząłem szykować trasę zastępczą, tak by niepotrzebnie nikogo nie narażać. Przygotowałem spokojne zejście leśnymi drogami do Podgórzyna. Mniemałem jednak, znając zmienność pogody w naszych górach, że wyruszymy na planowaną pierwotnie trasę. Ostateczną decyzję miałem podjąć już w Kar-

paczu, gdy zobaczę jakie panują tam warunki oraz kto się odważył na spacer. Na przystanku autobusowym spotkałem pierwszych turystów. Ruszyliśmy w drogę. Zanim dojechaliśmy do celu ktoś jeszcze dosiadł po drodze. W Karpaczu Górnym było nas już siedmioro. Po chwili zjawiała się kolejna osoba, która wysiadła przystanek dalej.

Jak to mówią nadeszła chwila prawdy. Popatrzyłem kogo mam w swojej grupie i uznając, że nie ma dużego ryzyka postanowiłem realizować pierwotny plan. Ruszyliśmy więc, mijając po drodze świątynię Wang, szlakiem prowadzącym na Polanę. Pora była tak wczesna, że wszystko jeszcze było pozamykane. Idąc z kapturami nasuniętymi na głowy osięgamy strumyk Płásawa i zaraz docieramy do miejsca, w którym stało kiedyś schronisko im. Bronka Czecha. Mimo, iż jesteśmy na terenie Karkonoskiego Parku Narodowego co chwilę mijają nas jakieś samochody. W specjalnej strefie wypoczynkowej rozkładamy się na pierwszy dzisiejszego dnia odpoczynek. W zasadzie nie zmęczyliśmy się jeszcze ale lepiej będzie gdy przegryziemy jakąś kanapkę. W tym momencie przestaje padać deszcz, nieśmiało zaczynają pojawiać się pierwsze promienie słoneczne. Jednym słowem wszystko nam sprzyja. O rety! Z ławeczki nic nie widać! Mimo ustąpienia chmur nie ma tu żadnych widoków. Wszystko przesłaniają choinki.

Dalsza trasa wiedzie nas mało uczęszczanym zielonym szlakiem turystycznym prowadzącym ostro pod górę wokół Wielkiego Stawu. Na wysokości pomnika T. Donata widzimy jak białe chmury przykrywające góry niczym kołderka, rozsuwają się przeganiane mocnym wiatrem. Słońce oświetla przeciwnie leżące zbocze i dostrzegamy zabudowania Śnieżki. Poniżej widać Strzechę Akademicką. Uciekające przed wiatrem chmury cały czas odkrywają przed nam coś nowego. Widoki te są dla nas prawdziwą nagrodą za to, że jednak nie zmieniliśmy planowanej trasy. Teraz jesteśmy pewni, że warto było podjąć ten trud. Rzadko zdarza się widzieć góry wyłaniające się z gęstej mlecznobiałej mgły, która jak przekładaniec rozdziela zielone zbocza od poszczególnych szczytów i błękitnego nieba pokrytego małymi chmurkami w kształcie baranków. Nie ma wyjścia, stajemy by cieszyć się tymi widokami jak najdłużej. Wyobrażamy sobie jak nam będą zazdrościć tych chwil ci, którzy zrezygnowali z dzisiejszej wyprawy.

Opadająca mgła osądając się na mokrych roślinkach tworzy na nich niesamowite wodne nacieki. Wygląda to początkowo jak lekki szronik. Po chwili jednak promienie słoneczne robią swoje. Wszystko znika i wtedy dostrzegamy, że na krzakach wisi mnóstwo czarnych, pięknych, kulistych jagód. Nie zastanawiamy się długo. Zaczynamy zbiory. Ponieważ deszcz zrobił swoje nie ma co myśleć o ich myciu. Od razu je konsumujemy. Są niezwykle smaczne, a jakie słodkie. Mniem, mniem! Pewnie długo byśmy zajadali się nimi ale przed nami jeszcze długa droga. Nie mogliśmy jednak przepuścić kolejnej okazji. W trawie wypatrzyliśmy piękną ropuchę. Była ona niezwykle duża, a jej brązowe ciało wyraźnie przebijało przez zielone trawki. Ciekawe jak się tu uchowała, przecież jesteśmy na wysokości ponad 1350 metrów n.p.m.

Wreszcie docieramy do szlaku czerwonego i spotykamy pierwszych turystów. Wśród nich są znajomi. Słyszac gdzie się wybieramy bez chwili namysłu przyłączają się do nas. Jest nas teraz cała dziesiątka, z tą różnicą, że mamy jedną niewiastę. Wrażenia jakich doświadczyliśmy do tej pory wywołują chęć wymiany zdań. Stajemy zatem na kolejny odpoczynek. Czynimy to oczywiście przy Słonecznikach. Tu, mimo ciągle przeganianych przez wiatr chmur, widzimy spory tłumek. Okazuje się, że nie tylko my chcieliśmy przeżyć ciekawe chwile. Robimy sobie tutaj pamiątkowe zdjęcie i rozkładamy się na ławeczce RGV. Dzielę się z innymi wiadomością o zdjęciu jakie niedawno pokazywał mi Janusz Skow-

roński. Przedstawiało ono moment odsłonięcia w 1942 roku skały przy Słoneczniku z wyrytą nową jego nazwą - „Skała Hauptmanna”. Podejrzewam, że leży ona gdzieś tutaj przewrócona, bo chyba by jej nie wysadzano w powietrze. Nie szukamy jej jednak, gdyż obecna nazwa pasuje nam i nie mamy zamiaru jej zmieniać.



*Dochodzimy do Słonecznika*

Dalsza trasa to właściwie piękny spacer. Idziemy poziomicą i oglądamy co chwile zmieniające się widoki. Nad Kotleń Smogorni próbujemy wypatrzeć chatkę Smogorniak. Niestety nie udaje nam się to. Widzimy jednak Białe Skały oraz polanę, którą dochodzi się do chatki. Dalej widzimy zbiornik wodny w Sosnówce i momentami Jelenią Górę. Mijając Tępy Szczyt coraz częściej spotykamy turystów mówiących po czesku. Wielu z nich prowadzi z sobą dzieci.



*Widok od Słonecznika*

Schodząc w stronę schroniska Odrodzenie dostrzegamy przez chwilę ruiny spalonego schroniska Petrovka. Zaraz jednak chmury ponownie zasłaniają je nam. Pogoda wciąż się poprawia. Jest coraz więcej ciepłych promieni słonecznych. Docieramy do cywilizacji. Mając do wyboru decydujemy się jednak na nasze schronisko Odrodzenie. Niestety po odbiór zamówionych dań musimy postać trochę w kolejce. Nie spodziewaliśmy się zastać tutaj takiego tłumu gości. Nie marudzimy jednak, gdyż nie ma to jak ciepła strawa. Pewnie siedzielibyśmy jeszcze długo w tak miłym miejscu, jednak uciekający czas zmusił nas do ruszenia w dół do miejsca, z którego mieliśmy odjechać ostatnim tego dnia autobusem.



*Nieistniejąca chatka na Suchej Górze (reprodukcja)*

Wychodząc z Odrodzenia pamiętamy wciąż widziane nieco wcześniej skały na Suchej Górze. To właśnie tam stała kiedyś mała chatka. Niestety nie doczekała ona naszych czasów. Znam jednak kilka osób pamiętających ten obiekt. Sam mam w swoim domowym archiwum jej zdjęcie wykonane pod koniec 1959 roku. Dochodząc do Przełęczy Karkonoskiej widzimy, że szlaban na drodze jest otwarty. Nie pierwszy to już raz widzimy, iż zamknięty przez cały tydzień szlaban na koniec tygodnia jest otwierany. Korzystając z tego że nie musimy go omijać, idziemy w dół asfaltową drogą, którą kiedyś można było tu dojechać. Chociaż dzisiaj także można. Właśnie mija nas jakiś samochód. Wciąż poprawiająca się pogoda jakby zachęcała nas byśmy jeszcze nie wracali. Widzimy rozłożone na Hutniczym Grzbiecie Bażynowe Skały. Cóż to za widok! Przez moment nasza mnie myśl by skrócić na skrót prowadzący w tamtą stronę.

Zaraz też dostrzegamy kamień z wyrytą datą 1898. Ponieważ droga ta ma spore nachylenie, nasz początkowo powolny marsz staje się coraz szybszy. W zasadzie trudno jest go kontrolować. Nie dbamy jednak o to. Niestety, a może bardzo dobrze, ma to swoje dalsze konsekwencje. W krótkim czasie osiągamy Przesiekę. I nagle okazuje się, że autobus, na który mogliśmy się spóźnić, jeszcze jedzie pod górę. Zyskaliśmy tak dużo czasu, że postanowiliśmy iść dalej i dotarliśmy do baru „Pod Lipami”. Był on czynny. Nic nie stało na przeszkodzie byśmy skorzystali z tego. Zwłaszcza, że przystanek autobusowy jest tuż obok. Zamówiliśmy to czego spragniony turysta po całodziennym spacerze potrzebuje najbardziej i siedząc na ławeczkach pod lipami wymienialiśmy wrażenia z trasy. Zastanawialiśmy się któż to tak pędził przed nami, że musiał zostawić rozwalone buty na trasie. Wspominaliśmy psa szczekającego przyjaźnie ze swojego dachu.

Ciesząc się z pięknego dnia, z tego że nie daliśmy się zwieść pogodzie, z tych wszystkich przeżytych dzisiaj pięknych chwil, patrzyliśmy jak „pędzi” pod górę nasz autobus. Nie ma co, trzeba się zbierać. Zaraz będzie on wracał i my zabierzemy się z kierowcą śmiejącym się do nas.

## Spacer krajoznawczy na Gapy



*Uczestnicy spaceru przed „Mechanikiem”*

W sobotę 17 sierpnia 2013 roku Komisja Krajoznawcza przy Oddziale PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze zaprosiła chętnych na kolejny spacer krajoznawczy śladami obiektów militarynych. Tym razem głównym celem wycieczki były Gapy leżące na prawym brzegu Bobru. Prowadzący dzisiejszy spacer Włodzimierz Bayer oraz piszący te słowa oczekiwali na turystów przy jeleniogórskim Neptunie. Ponieważ pogoda była wyśmienita wszyscy byli uśmiechnięci i radośni. Nie zwlekając ruszyliśmy w drogę. Na chwilę przystanęliśmy przy budynkach „Mechanika”. To właśnie tutaj po raz pierwszy na świecie wyprodukowano cukier z buraków cukrowych.

Zgodnie planem idziemy dalej by znaleźć się po drugiej stronie rzeki. Tam Włodzimierz prowadzi nas leśnymi ścieżkami, przy których co jakiś czas dostrzegamy resztki budowli wojskowych. Nie ma co się temu dziwić, gdyż jeszcze niedawno teren ten był wykorzystywany jako poligon wojskowy. Jednak nie to jest dla nas najważniejsze. Nikt nie przypuszczał, że idąc tędy będziemy podziwiać tak wspaniałe widoki. Na pierwszym planie dostrzegamy budynki dawnych koszar wojskowych. Nad nimi widać osiedle Zabobrze. Jakżeż inaczej prezentuje się ono od tej strony. Dostrzegamy także Sokoliki. Nieco bliżej widzimy kościół św. Krzyża oraz budynek Żeroma.

Patrząc w przeciwną stronę widzimy na górze poszukiwane przez nas skały. Już wiemy jak trudno będzie się do nich dostać. Musimy jednak próbować. Szukamy mniej stromego podejścia. Wydaje nam się, że idąc przez widoczną polanę będziemy mieli bliżej. Jednak gdy tylko wchodzimy w rosnące tu wysokie trawy tracimy kontakt wzrokowy. Nikt nikogo nie widzi. I to przez dłuższą chwilę. Ciepłe

promienie słoneczne docierające przez trawy tak nas rozleniwiają, że postanawiamy zrobić mały odpoczynek. Najpierw jednak musimy przedrzeć się przez czepiające się naszych ubrań kłujące chaszczki. Niewidoczne w zaroślach głębokie dołu i rowy są przyczyną wielu upadków. Nikomu jednak nic się nie stało. Wreszcie wychodzimy z trawy i siadamy na przewróconym pniu. Patrząc w jedną stronę widzimy nasze piękne miasto a w drugą Stronie i Szybowisko. Nieco dalej dostrzegamy Skopiec i Baraniec oraz Góry Ołowiane. Cisza panująca w tym miejscu skłania nas do pozostania tu trochę dłużej niż zakładaliśmy. Wykorzystujemy to by coś przekąsić. Po chwili słyszymy jakiś warkot. To przelatuje nad naszymi głowami mały samolocik. Wszak jesteśmy w pobliżu Góry Szybowcowej. Pogoda jest wręcz wymarzona do lotów szybowcami.



*Zabawa w chowanego*

Najedzeni i wypoczęci docieramy do widocznych od dłuższego czasu skałek. Gdy stajemy na szczycie nie możemy nasycić oczu widokami jakie się z tego miejsca roztaczają. Coś niesamowitego. Postanawiamy przysiąść na znajdującym się tu sporym głazie. Jak tylko siadamy ten porusza się, jakby chciał nas postrzącać. Zaskoczeni próbujemy ponownie. I cóż się wtedy okazuje. Głaz, na którym chcieliśmy odpocząć to prawdziwy chybotek. Jesteśmy szczęśliwi, że udało nam się trafić na tak niesamowity walor krajoznawczy. Na pewno przyjdziemy tu jeszcze nie raz. Uradowani schodzimy w dół w stronę kolejnej dużej skały. Tam okazuje się, iż dawno temu wykuto w niej dwadzieścia wąskich schodków ułatwiających wejście na nią. Widać, że i obecnie ludzie korzystają z tych schodków. Na górze dostrzegamy przygotowane miejsce na ognisko. Z drugiej strony skały, u jej podnóża, wyraźnie

widać sporych rozmiarów plac stanowiący kiedyś ziemną platformę widokową. W pewnej odległości od niej znajduje się ciekawe oczko wodne. Wygląda ono jakby porastające jego brzegi rośliny starały się je zmniejszyć. W trawie dostrzegamy ciekawy okaz grzyba, a właściwie grzybów tworzących wielkie gniazdo. W pobliżu skrzyżowania leśnych ścieżek widzimy drzewo. Wygląda ono jakby jakaś olbrzymia siła rozerwała je na strzępy. Tuż obok dostrzegamy pień drzewa wyrzeźbiony tak by wyglądał jak mała kapliczka. Z umieszczonego napisu dowiadujemy się, że miejsce to upamiętnia tragiczną śmierć młodego pracownika leśnego.



*Odoczynek przed dalszą drogą*

Po chwili docieramy do skały nazywanej Zamczysko. To tutaj znajdują się resztki starej warowni, o której krąży wiele legend. Faktem jest, że prowadzone w tym miejscu w 1996 roku prace archeologiczne potwierdziły istnienie obiektu warownego. Zostały wtedy odsonięte mury obronne. Możemy je zobaczyć od strony rzeki. Tam też próbujemy zejść nad brzeg Bobru jednak stromość zbocza uniemożliwia nam to. Dlatego idziemy nieco dalej i ponawiamy próbę przy ogrodzeniu chroniącym młodnik. Tu też jest bardzo stromo, jednak można przytrzymywać się rosnących drzew. Prowadzący wybieczkę szybko dociera do biegnącej wzdłuż Bobru ścieżki. Ja ubezpieczam starszego pana, który już wcześniej potknął się. Baczę by nic mu się nie stało. Dlatego na dole jesteśmy jako ostatni. Wtedy pan ów przyznaje się ile ma wiosen. Od razu jednak dodaje, że miał wielką chęć na spacer i gdy przeczytał nasze zaproszenie nie wahał się ani chwili. Dzisiaj jest zadowolony, że nasze tempo dostosowane jest do wszystkich uczestników spaceru.



Po drugiej stronie widzimy schronisko „Perła Zachodu”. Zanim jednak do niego docieramy musimy bardzo uważać by nie wpaść do jeziora wraz z przegniłymi deskami umieszczonymi na długim mostku. Niestety wszystkie nasze prośby o naprawienie tego mostku, jak dotąd trafiają w próżnię. Nikt nie chce przyznać się do tego obiektu. Urzędnicy od dłuższego czasu próbują ustalić właściciela mostku jednak, jak się okazuje, nie jest to takie proste. W schronisku zaplanowaliśmy nasz główny odpoczynek. Jednak zanim wygodnie usiądziemy przy stolikach musimy jeszcze pokonać widoczne schody. Jest ich tutaj naprawdę wiele. Cóż to jednak dla takich piechurów jak my. Wdrapujemy się po nich tak jak kondycja nam pozwala. Jedni z uśmiechem na twarzy, drudzy z lekką zadyszka. Ale oto czeka nas

nagroda. Możemy zamówić wszystko o czym zamarzymy. Niektórzy postanowili odłączyć się tu od wycieczki i spokojnie zjeść obiad. Żegnamy się zatem i idziemy w stronę elektrowni. Zanim jednak do niej dochodzimy skręcamy w prawo pod górę i docieramy do skałek o nazwie Trafalgar, z których rozpościera się jeden z najładniejszych widoków na Jelenią Górę. Stąd ruszamy na Górę Siodło by sprawdzić czy na skałce siedzi tam duch Siodlarza. Niestety, tym razem, nie było nam dane spotkać się z nim. Za to bezbłędnie trafiliśmy do ruin świątyni Apollina a następnie na górę zwaną Krzyżna. Obok niej obejrzelśmy betonowe obiekty wyglądające jak kanały wentylacyjne podziemnych schronów. Niestety dzisiaj znajdują się w nich tylko śmieci pozostawiane przez odpoczywających tutaj spacerowiczów.



*Nowo odkryty chybotek*



Po przekroczeniu torów kolejowych schodzimy wzdłuż ogrodów działkowych do miejsca, w którym znajduje się tablica upamiętniająca znanego działacza Mariana Południkiewicza. I tu spotyka nas niespodzianka. Na ławeczce siedzi starszy pan, który pozostał na obiedzie w schronisku. Tym razem żegnając się z nim życzymy sobie wzajemnie przyjemnego popołudnia i docieramy do przystanku autobusowego gdzie kończymy nasz dzisiejszy spacer.

## Moje wrażenia z CZAK-u 2013

Gdy wreszcie ostatecznie ustalono program tegorocznego XLIII Centralnego Zlotu Krajoznawców długo zastanawiałem się czy dołączyć do innych i przybyć do Supraśla. Odstraszała mnie odległość, a właściwie czas jaki muszę poświęcić na dojechanie tam. Przez chwilę naszała mnie myśl, iż Zlot organizowany jest gdzieś na końcu świata. Jednak zaraz uświadomiłem sobie, że mieszkańcy tamtych stron mogą to samo powiedzieć o mojej Jeleniej Górze. Przełamałem się zatem i kupiłem bilet. W pociągu tłok był niesamowity, ludzie stali na korytarzach. Już dawno nie widziałem takiego obłężenia na kolei. Na szczęście miałem tylko jedną przesiadkę - w Warszawie. W pociągu do Białegostoku było już normalnie, wszyscy mieli miejsca siedzące, nikt się nie denerwował, że musi stać całą drogę. Wreszcie można było odpocząć.

Po czternastu godzinach podróży jestem w Białymstoku. Gdy znalazłem przystanek, z którego odjeżdżały busy do oddalonego o dwadzieścia kilometrów Supraśla, spotkałem pierwszych uczestników Zlotu. Okazało się, że jechali oni tym samym pociągiem. Ponieważ do celu podróży pozostało nam jakieś pół godzinki jazdy humory wyraźnie poprawiły się nam.



*Widok na cerkiew Zwiastowania Najświętszej Marii Panny w Supraślu*

No i jesteśmy w Supraślu. Bez trudu trafiamy do recepcji Zlotu, który zaplanowano w dniach 21-25 sierpnia 2013 roku. Dzisiaj jest poniedziałek, gdyż zdecydowałem się na udział w wycieczce przedzłotowej. Niestety jakoś tak dziwnie się składa, że dodatkowe wycieczki są często bardziej atrakcyjne niż

te złotowe. Ale to dopiero jutro. Dzisiaj zakwaterowanie i rozpoznanie terenu. Czasu jest jeszcze sporo. Od razu czeka mnie pierwsza niespodzianka. W związku z jakimiś kłopotami przydzielono mnie do innego pokoju. Nie przeszkadza mi to za bardzo, może poznam kogoś ciekawego. Pokój jest niewielki, a zrobił się jeszcze mniejszy gdy dostawiono w nim czwarte łóżko. Nie jest jednak źle, mamy swoją łazienkę. Tylko te schody.

Zakwaterowano nas w Powiatowym Ośrodku Sportu i Rekreacji „Bukowisko” w Supraślu. Jak się później okazało z miejsca tego właściwie wszędzie było blisko. Pogoda wciąż nam dopisywała. Gdy wreszcie nastał zmrok wyjrzałem ponownie przez okno. Z wysokości trzeciego piętra pięknie prezentował się pobazyliński zespół klasztorny z cerkwią Zwiastowania Najświętszej Marii Panny. Jakże inny był to widok niż ten przy świetle dziennym. Teraz podświetlone wyższe partie wież i murów pomalowanych na biało były niesamowite. Do tego ta przenikliwa cisza, w której wszystko było utulone. Gdy tak wpatrywałem się w ten widok, lekki powiew wiatru wyrwał mnie z odrętwienia w jakie zapałem. Trzeba przecież było położyć się spać by wypocząć przed pierwszą wycieczką.

Ranek przywitał nas pięknym wschodzącym zza czerwonych chmur słońcem. Dobrze to wróżyło. Po placu przechadzały się strasznie chude koty. Ich zabawy były przezabawne. W dobrych humorach zeszliśmy na śniadanie i po chwili siedzieliśmy już w autobusie. Pora ruszać w drogę. Jedziemy do Knyszyna gdzie mamy zobaczyć drewniany dom z przełomu XVIII i XIX wieku. Początkowo był on własnością rodziny Klattów, później Bartkiewiczów i Piaseckich. Ostatnią właścicielką obiektu była Cecylia Piasecka zmarła w 2002 r. Ponieważ nie pozostawiła ona po sobie spadkobierców dom wraz ze zgromadzonymi w nim pamiątkami stał się własnością państwową i po remoncie kapitalnym udostępniono go dla zwiedzających (w czerwcu 2011 r.).

Wchodząc do domu kłaniamy się nisko. Wynika to oczywiście z wymiarów drzwi. Zaraz po wejściu widzimy samowar i koszyk z bańkami, oczywiście tymi szklanymi, które stawia się w chorobie. W każdym z pomieszczeń zgromadzono nie tylko meble i wyposażenie potrzebne do normalnego funkcjonowania ale także mnóstwo pamiątek i drobiazgów, tzw. zbieraczy kurzu. Mnie zainteresował dowód osobisty Józefa Piaseckiego, a właściwie wpisy jakie czyniono w tamtym czasie. Były wśród nich: wzrost, oczy, usta (miarowe), nos (miarowy), włosy, twarz (pociągła), ale i taka pozycja jak znajomość pisania i czytania (piśmienny). Dzisiaj nas to może śmieszyć ale wtedy wszystkie te opisy czyniono na poważnie. Niektóre eksponaty przybliżyły nam relacje w minionych czasach. Na przykład na etykiecie stojącej butelki wyczytaliśmy, że jest to, a właściwie była, bo przecież już dawno została wypita, wódka czysta zwykła o pojemności 1 litra i mocy 40 stopni, wyprodukowana przez Państwowy Monopol Spirytusowy. Kosztowała ona wówczas całe 500 zł. Bardzo ciekawie budynek ten prezentował się od strony podwórza. Stojąc za drzewem widzieliśmy jaki jest on długi.

Drugi drewniany budynek jaki pokazano nam w Knyszynie to lamus plebański z 1818 roku. Początkowo budynki takie stawiano przy dworach jako miejsce przechowywania cennych przedmiotów. Z czasem stawiali je wszyscy. Lamus stał się budynkiem gospodarczym do przechowywania sprzętu gospodarczego, zboża, żywności lub tzw. przydasi. Był to drewniany budynek o konstrukcji i rozkładzie pomieszczeń dostosowanych do funkcji magazynowych. Dzisiaj nie ma zbyt wiele zachowanych podobnych obiektów. Dlatego z przyjemnością obejrzelśmy go mimo nieładu jaki w nim panował.

Naprzeciwko lamusa znajduje się kościół pod wezwaniem św. Jana Apostoła i Ewangelisty. Obecna świątynia to już trzeci obiekt w tym miejscu. Zbudowano ją pod koniec XVI wieku. O miejscu tym krąży wiele legend. Jedna z nich mówi o królu Zygmuncie Augustie, a właściwie o sercu królewskim po-

chowany zgodnie z jego wolą w podziemiach kościoła. Ponoć w krypcie umieszczono napis *Kto mnie zamknął ten mnie otworzy*. Nikt jednak tego napisu nie widział, choć wielu starało się go odnaleźć zważywszy na przekazy mówiące o ukrytych wraz z sercem kosztownościach.



*Lamus plebański w Knyszynie*

Jako, że Knyszyn był grodem królewskim posiadał Rynek. Ciekawostką jest tutaj układ ulic niezmienny od czasu ich wytyczenia (na zlecenie królowej Bony) w I połowie XVI wieku. To tutaj przez trzyście lat znajdowało się złożone w ufundowanym przez Jana Zamoyskiego sarkofagu serce króla Zygmunta, przeniesione w XIX wieku do podziemi wspomnianego wcześniej kościoła.

Kolejnym celem naszej dzisiejszej wycieczki była siedziba dyrekcji Biebrzańskiego Parku Narodowego. Już przed wejściem dostrzegłem przymocowaną do dużego głazu tablicę upamiętniającą prof. Adama Pałczyńskiego – jednego ze współtwórców Parku. To dobrze, że pamiętają tu o ludziach, których pasja i zaangażowanie przyczyniły się do objęcia tych terenów taką formą ochrony. Biebrzański Park jest największym w Polsce, prawie dziesięć razy większym od mojego Karkonoskiego. Jest zatem o co dbać. Nie będę tutaj pisał o samym Parku, każdy znajdzie takie informacje bez problemu. Muszę jednak powiedzieć co zastałem w toalecie, do której się udałem. Jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Na kafelkach za muszlą, na wysokości oczu dorosłego człowieka, była przywieszona karteczka z napisem w miejscowym narzeczu. Oto co na niej wyczytałem. *Pánové ! To co držíte právě v ruce, není tak dlouhé, jak si muslíte, a proto přistupte ještě o krok blíží! Děkujeme.*

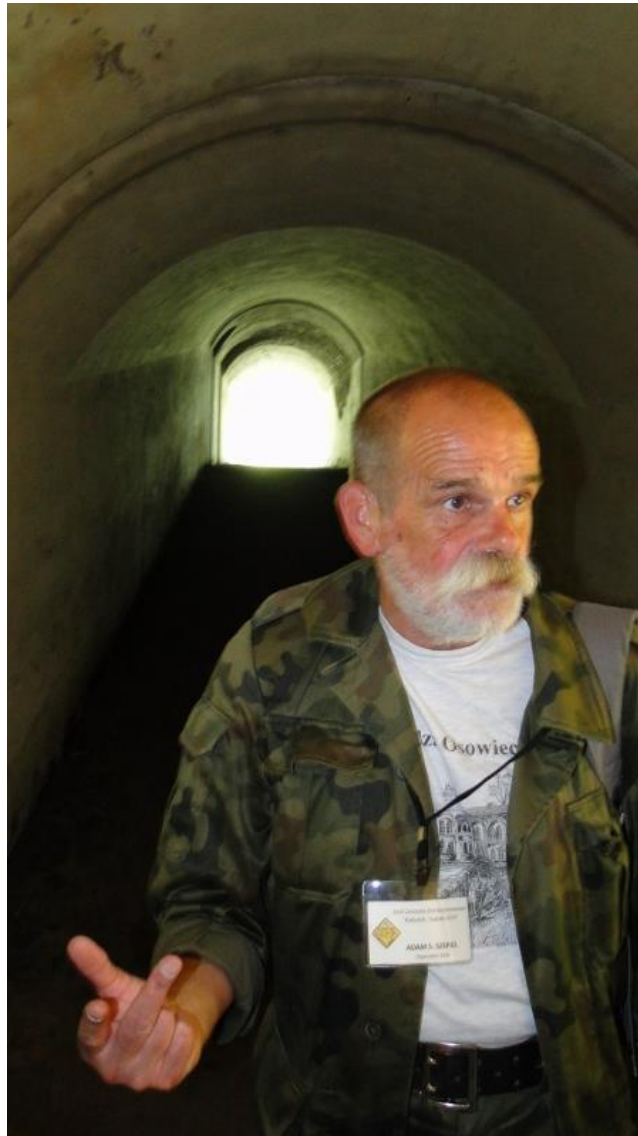
Aby nie tracić czasu ruszyliśmy z przydzielonym nam przewodnikiem w teren i wkrótce dotarliśmy do jednego z fortów Twierdzy Osowiec. Ten pozostawiony samemu sobie obiekt, położony za zarośniętym zbiornikiem wodnym, jakby zachęcał by udać się wprost do niego. Nie jest to jednak takie proste jakbyśmy myśleli. Obecnie trwają rozmowy o udostępnieniu fortu do życia, tym razem pod kątem turystycznym. Stanie się tak gdy tylko pojawią się stosowne środki finansowe. Dla nas bardziej ciekawym okazał się tym razem spacer ścieżką wzdłuż zarastających tu szuwarów turzycy sztywnej. Większość z nas nie spotyka na co dzień takich roślin w okolicach swojego domu. Dlatego chętnie przeszliśmy się podglądając co kryje się w zaroślach. Dla turystów wybudowano tu specjalne pomosty, jest

zatem zupełnie bezpiecznie. Niestety ani nie widzimy ani nie słyszymy żadnych ptaków. Tak jakby się przed nami ukryły.



*Roślinność wodna w Biebrzańskim Parku Narodowym*

Dosyć jednak tego dobrego. Opiekujący się nami Adam Szepiel, ubrany w gustowny mundurek, zabiera nas do Twierdzy Osowiec. Mówi nam, że to jest właściwe dla nas miejsce, że właśnie tu dowiemy się o najciekawszych wydarzeniach jakie wydarzyły się w tym rejonie. Gdy patrzymy na niego wygląda, że mówi to na poważnie. Nie ma wyjścia, idziemy posłusznie za nim. Jednak przed bramą wejściową musimy zaczekać bo jak się okazało wcale nie tak łatwo wejść do obiektu, który leży na terenie jednostki wojskowej. Ale po chwili mamy zezwolenie i przekraczamy piękny most o konstrukcji kratownicowej. Jesteśmy w Twierdzy Osowiec stanowiącej w momencie jej budowy ważny element umocnień broniących zachodnich granic imperium rosyjskiego. Fort ten usytuowany w zwięźniu doliny Biebrzy skutecznie blokował wszelkie próby przejścia tędy wrogich wojsk. Podczas I wojny światowej wojska niemieckie mimo przeprowadzenia trzech szturmów nie zdołały zdobyć umocnień. Nie pomogło im w tym nawet użycie gazów bojowych. Ze względu jednak na złą sytuację ogólną na froncie, Rosjanie wkrótce sami opuścili twierdzę. Obecnie, jak już wspominałem, znajduje się tu jednostka wojskowa, jednak od 1998 roku, gdy Twierdza Osowiec została wpisana do rejestru zabytków i otworzono Muzeum, dopuszczono tu ruch turystyczny. Członkowie powstałego Osowieckiego Towarzystwa Fortyfikacyjnego starają się utrzymywać obiekt w dobrym stanie. Kolega Adam pokazuje nam potężne umocnienia ceglano-ziemne. Zadaję mu kilka dla mnie ciekawych, jednak jak to mówi się ogólnie, głupich pytań, czym trochę go motywuję do pogłębienia tematu. Nie ucieka on jednak od odpowiedzi i stara się jej udzielić. Dzięki temu sytuacja z poważnej staje się nieco luźniejsza i dalej dowiadujemy się wielu ciekawostek niejako chowanych przed zwiedzającymi. Chociaż nie do końca, bo niestety nie spotkaliśmy chodząc po korytarzach twierdzy ducha Czarnej Damy. Widać nie było nam to sądzone. Żarty żartami ale to co nam pokazał i opowiedział kol. Adam w zupełności zaspokoili nasze oczekiwania.



*Adam Szepiel – najweselszy z naszych przewodników*

Dla równowagi ponownie ruszyliśmy trasą przyrodniczą. Dotarliśmy do drewnianej wieży widokowej. Wchodząc na górę, by zobaczyć jak wygląda łąka bagienna, zapomnieliśmy o ostrzeżeniu i oczywiście znalazło się nas tam zbyt wielu. Nie było zatem dziwne, że wieża zaczęła się kołysać. Gdy to poczuliśmy zejście na dół trwało znacznie krócej niż na górę. Wieża ta była swego czasu niszczona przez okolicznych mieszkańców. Jednak od czasu ostatniej odbudowy, kiedy to umieszczono na niej rzeźbę św. Franciszka, którą podczas wielkiego festynu poświęcił biskup, nikt już nie próbował jej dewastacji. W okolicy wieży rośnie ciekawa roślina. Jest nią bobrek trójlistkowy. Mieszkańcy zbierają jego listki na wiosnę, kiedy kwitnie i następnie suszą je. W takim stanie jest on używany do leczenia znanej dolegliwości pokarmowej, jaką ma się na drugi dzień po skosztowaniu miejscowego trunku o nazwie *Kop łośia*.

Kilkaset metrów dalej wykonano czterystumetrowej długości drewnianą kładkę, którą udaliśmy się do platformy widokowej. Widok jaki stamtąd się roztacza trzeba zobaczyć na własne oczy. Nie da się go opisać w kilku zdaniach. Gdy przyjdzie się w to miejsce rano można usłyszeć wiele gatunków żyjących

tu ptaków. Organizowane są nawet specjalne zawody, podczas których rekordziści są w stanie rozróżnić w ciągu dnia do 130 gatunków ptaków! Jaką to trzeba mieć wiedzę?



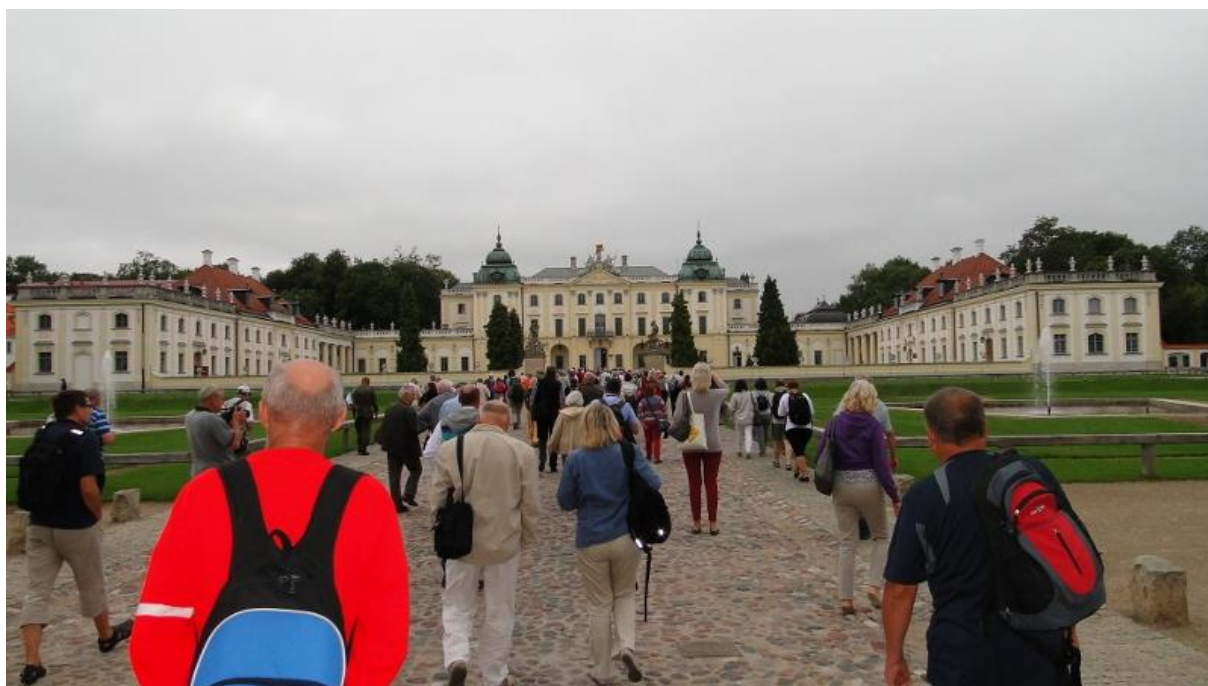
*Długa Luka*



*Góra Strękowa – miejsce pochówku dowódcy Odcinka Obronnego Wizna – kpt. Władysława Raginisa i jego zastępcy – por. Stanisława Brykalskiego*

Tak wiele wrażeń jakich doznaliśmy wywołały w nas lekkie objawy zmęczenia, jednak kiedy dojechalismy do Góry Strękowej, po pierwszych zdaniach jakie usłyszeliśmy o tym miejscu, ciekawość wzięła górę i opuściliśmy autobus. Na wzgórzu tym znajdował się schron dowódcy Odcinka Obronnego Wizna, kpt. Władysława Raginisa. Dysponując siłami liczącymi około 700 żołnierzy wyposażonych w 6 dział, kilka rusznic ppanc. i kilkadziesiąt karabinów maszynowych stanął on do walki z wojskami We-

rmachtu dysponującymi 42 000 żołnierzy wyposażonych w 350 czołgów, 200 dział ppanc., 100 haubic, 1 000 karabinów maszynowych, kilkadziesiąt lekkich dział, granatników i moździerzy. Do tego mieli oni wsparcie z powietrza. Przewaga sił niemieckich była miażdżąca, jednak Polacy stawiali im opór od 8 do 10 września 1939 r. Nic dziwnego, że miejsce to nazywane jest *Polskie Termopile*. Sam kpt. Raginis dopełnił żołnierskiej przysięgi i gdy uznał, iż dalszy opór nie ma sensu kazał żołnierzom opuścić schron, sam pozostając w nim z odbezpieczonym granatem. Po kilku próbach odnalezienia zwłok kapitana zakończonych sukcesem jego szczątki spoczęły przy bunkrze. Oprócz kpt. Władysława Raginisa spoczywa tu także por. Stanisław Brykalski – jego zastępca.



*Pałac Branickich w Białymstoku*

Na drugi dzień docieramy do Białegostoku. Podążamy do pałacu Branickich, zwanego często Wersalem Północy. Kto zobaczy ten obiekt oraz położone za nim przepiękne ogrody nie będzie miał wątpliwości o słuszności tej nazwy. Rzadko zdarza się widzieć tak harmonijne założenie pałacowo-parkowe. Pewnie dlatego nie chcąc niszczyć przestronnych schodów nie przerobiono ich dla potrzeb osób niepełnosprawnych. Przyglądam się jak pięciu chłopaków wnosi uczestniczkę jeżdżącą na wózku inwalidzkim. Nieźle się oni umęczyli zważywszy, że był to wózek typu ciężkiego. Wreszcie spotykamy się wszyscy razem. Udostępniono dla nas salę na pierwszym piętrze gdzie opowiedziano nam historię obiektu. Możemy trochę ochłonąć i dowiedzieć się do której grupy zostaliśmy przydzieleni na dalsze zwiedzanie Białegostoku.

Ruszamy w miasto. Niestety autobus zwany popularnie ogórkiem jest tylko jeden, musimy więc na przejażdżkę nim wybierać się grupkami. Daje to nam jednak okazję do spokojnego zwiedzenia miasta. Co prawda później pewnie coś się powtórzy ale to nic. Wreszcie przychodzi nasza pora. Pakujemy się do czerwonego autobusiku i ruszamy. Po chwili wyjmujemy parasole gdyż zaczyna padać deszcz! Tak w autobusie pada deszcz! Przecież to stary samochód i może być nieco nieszczęlny. Nie przeszkadza nam to zbytnio. Mamy nawet dobrą zabawę. Ostatni raz jeździliśmy takim ogórkiem podczas pobytu w Gdańsku.



*Autobus wycieczkowy zwany ogórkiem*

Wszystko jednak co dobre ma kiedyś swój koniec. Tak samo nasza przejażdżka. Zostaliśmy brutalnie spieszeni i na dalsze zwiedzanie udaliśmy się z nową przewodniczką. Najbliżej nas był kościół pod wezwaniem Chrystusa Króla i św. Rocha. Jest to jedna z pierwszych modernistycznych świątyń zbudowanych w Europie. Przy jej budowie zastosowano konstrukcję żelbetową. Obiekt ten, gdy patrzymy nań z dołu, sprawia wrażenie ogromnego. Owszem jest on dość duży ale nie aż tak. Jednak zarówno z zewnątrz jak i wewnątrz jest na co popatrzeć. Ponoć takich świątyń miało być o wiele więcej jednak zdążono zbudować tylko tą jedną.

Po chwili trafiamy do kolejnej świątyni. Jest nią cerkiew św. Marii Magdaleny. Wzniesiono ją dzięki fundacji Jana Klemensa Branickiego. Wchodząc do środka czujemy jak robi nam się ciepło. Czuć zapach palonych świec. Przepych jaki widać w cerkwiach dosłownie zniewala. Chciałoby się wszystko obejrzeć i sfotografować. Niestety na drodze do pełni szczęścia staje nam pilnująca porządku w świątyni siostra, która kategorycznie zakazuje robienia zdjęć. Trudno.

Dla osłody, nasza przewodniczką, zabiera nas do Filharmonii Białostockiej by pokazać ponoć kolejny cud świata. No może i jest to cud architektury, jednak dzisiaj tego nie doświadczymy. Okazuje się, że wszystko można obejrzeć w określonych dniach. W każdym razie nie dzisiaj. Korzystamy jednak z faktu bycia tu i oglądamy poszczególne rozwiązania jakie tu zastosowano. Jedno okazało się nie tyle ciekawe co mylące. Otóż jedne z drzwi wejściowych umieszczono tak, że przeszklona w całości ściana oraz stojący przy niej filar dawały złudzenie, że właśnie tędy należy wychodzić. Jakież było zdziwienie pierwszej osoby, która przywarła twarzą do szkła. Po chwili uczyniła to kolejna osoba i jeszcze jedna. A więc to nie nasze gapiostwo było przyczyną nietrafiania w otwór wejściowy.

Przy okazji naszego pobytu zwiedziliśmy ciekawą wystawę zorganizowaną z okazji 70. rocznicy likwidacji getta białostockiego. Zebrano tu wykopane na terenach dawnego getta przedmioty codziennego użytku, drobne ozdoby itp., czyli to co na ogół znajduje się w każdym normalnym domu.





*Nasi opiekunowie podczas Centralnego Zlotu Krajoznawców 2013*

Powoli trzeba było przyspieszać kroku, okazało się bowiem, że niewiele już pozostało nam czasu do oficjalnego otwarcia Zlotu. A musieliśmy jeszcze dotrzeć do budynku Uniwersytetu Białostockiego gdzie czekali już na nas. Gdy tam dotarliśmy byli już prawie wszyscy. Można było rozpocząć nasze spotkanie. Dokonał tego komandor Zlotu – Darek Kuźelewski. Przywitał przybyłych gości i uczestników. Podziękował wszystkim, którzy pomagali przy organizacji Zlotu oraz przedstawił działaczy mających opiekować się nami. Oczywiście wystąpili gospodarze, przedstawiciele władz i współpracujących instytucji oraz prezes PTTK Lech Drożdżyński i Prezes GKR PTTK Wojciech Sobieszek. Najważniejsze jednak zdanie wypowiedział przewodniczący Komisji Krajoznawczej ZG PTTK Józef Partyka. *XLIII Zlot Aktywu Krajoznawczego CZAK 2013 w Białymstoku uważam za otwarty.* Od tej pory nasze spotkanie miało już charakter oficjalnego.

Ponieważ chwila była bardzo podniosła wykorzystano ją by zapalić postawiony nad flagą Towarzystwa znicz i uczcić wszystkich krajoznawców, którzy odeszli od nas w okresie od poprzedniego CZAK-u. Po zaprezentowaniu przez przewodniczącego składu Komisji Krajoznawczej oraz jej dokonaniu wręczenia nominacji na uprawnienia krajoznawcze, nadania nowych stopni instruktorskich oraz wyróżnień. Wojciech Kowalski przygotował nowe mianowania na *Jurorów zbiorów krajoznawczych*. Oczywiście samego wręczenia mianowań dokonał prezes Lech Drożdżyński. Ze względu na fakt, iż nie wszyscy wyróżniani byli obecni na sali otrzymają oni swoje uprawnienia przy innej okazji. Widać było na twarzach osób wyróżnianych zadowolenie. Niektórzy byli bardzo dumni z otrzymanych uprawnień na wyższy stopień instruktorski, choćby Ryszard Bącal z Żar. Podczas wręczenia Odznaki Krajoznawczej Polski w stopniu złotym z szafirem nie krył swojej radości ani Stanisław Król z Witkowa Śląskiego ani prezes. W zasadzie takie chwile powinny zawsze kończyć każdą uroczystość. Wyjątkowo jednak tym razem czekała nas jeszcze sesja krajoznawcza oraz wykonanie pamiątkowego zdjęcia.



*Światełko dla uczczenia krajoznawców, którzy odeszli na niebiańskie szlaki*



*Ryszard Bącal z Żar odbiera legitymację IKP*

Józef Maroszek zatytułował swoje wystąpienie *Podlasie – kraina renesansu*. Jednak od razu zapytał czy można tak powiedzieć? Ano właśnie. Odniósł się on w swoim wywodzie do sprawy znanych wszystkim *Arrasów wawelskich*, które zanim dotarły na Wawel cieszyły oczy króla w jego dworze w pobliskim Knyszynie. Do Krakowa dotarły one przecież już po śmierci króla.



*Stanisław Król z Witkowa Śląskiego odbiera z rąk prezesa Lecha Drożdżynskiego OKP w stopniu złotym z szafirem*



*Komisja Krajoznawcza ZG PTTK*

Krzysztof Wolfram, który wystąpił jako drugi, to twórca programu *Zielone Płuca Polski*. Zaprezentował on referat pt. *Przyroda województwa podlaskiego*. Zaraz na początku przyznał, że głównym celem tworzenia wspomnianego programu było zachowanie wielkiej wartości zasobów przyrodniczych i kulturowych Polski południowo-wschodniej i rozwijanie regionu zgodnie z głównymi тезami programu.

Następnego dnia rano okazało się, że pogoda wciąż nam sprzyja. Z radością udaliśmy się więc na śniadanie a później posłuchać zaplanowanych paneli dyskusyjnych. Niestety nie sposób było roze-

rwać się i mimo, iż niektóre tematy bardzo nas interesowały nie było fizyczną możliwością wziąć udział w tych prezentacjach. Osobiście spróbowałem posłuchać trochę tu, trochę tam. Nie wyszło mi to na dobre. W sumie to co usłyszałem nic mi nie dawało. Szybko zatem zrezygnowałem z tej formy udziału w prezentacjach i przysiadłem się do uczestników wykładu Radosława Dobrowolskiego (Burmistrza Miasta i Gminy Supraśl), który przedstawiał historię *Klasztoru Bazylianów w Supraślu*. Jego słowa były jednak bardzo przewrotne. Opowiadał o prawosławiu w zupełnie innym świetle, niż jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Potrafił jednak poprzeć swoje tezy dowodami. W sumie było to bardzo ciekawe. Dowiedziałem się nie tylko, oczywiście ze względu na ograniczony czas bardzo pobieżnie, o historii monasteru w Supraślu ale także o roli jaką pełnił on w tamtych czasach.

Zachwycony tym wystąpieniem postanowiłem pozostać na sali by posłuchać Piotra Sawickiego mającego opowiedzieć o *Duchowym i artystycznym wymiarze ikon*. Ponieważ jest on pracownikiem Muzeum Ikon w Supraślu uznałem, że jak nikt powinien znać się na rzeczy. I nie pomyliłem się. Oczywiście nie chodzi mi o regułkę, że ikona to z greckiego wizerunek, przedstawienie, obraz; czy według teologów to nie tylko przedstawienie malarskie obecności świętych ale to coś znacznie więcej, ikona to funkcja modlitewno-katechetyczna. Chodzi o znaczenie ikony pozawymiarowe właśnie. Aby jednak to pojąć trzeba o wiele więcej czasu niż tych kilkanaście minut trwania wypowiedzi. Trzeba bowiem zastyszane słowa dokładnie rozważyć, przemyśleć i wreszcie odpowiednio poukładać by nabrały one odpowiedniego sensu w stosunku do wiary i sposobu jej przedstawiania.



*Oby wszyscy uczestnicy byli tak zadowoleni*

Jestem rad, że wysłuchałem właśnie tych dwóch referatów. Naprawdę jest o czym myśleć. Do tego autobus, który nam podstawiono wygląda całkiem nieźle. Ba, umieszczono nawet na nim tabliczkę informującą, że jest to pojazd luksusowy. Zobaczymy! Ponieważ nie jesteśmy zbyt szybcy zajmujemy miejsca z tyłu. Już widzę uśmiechnięte twarze Zbyszka, Wojtka i Józka. Będzie fajnie, a na pewno wesoło – myślę sobie sadzając swoje cztery litery na siedzeniu przed nimi. Zaraz dosiada się Szymon i

ruszamy. Mknijemy tak szybko, że nie wiadomo kiedy przejechaliśmy zabudowania Białegostoku i docieramy do cerkwi pod wezwaniem Świętego Męczennika Młodzieńca Gabriela. Jest to obiekt nowo zbudowany. Jednak gdy wchodzi się do środka nie wiadomo na czym zawiesić oczy. Cała świątynia, wszystkie ściany, słupy itp. są pokryte kolorowymi malowidłami. Do tego jeszcze ten potężny zwisający ze stropu żyrandol, no i oczywiście to co zawsze znajduje się w cerkwiach. Tutaj znajdują się dodatkowo relikwie św. Gabriela. Według legendy chłopiec o imieniu Gabriel, podczas gdy rodzice pracowali w polu, został sam w domu. W tym czasie wdarł się tam intruz, który porwał chłopca a następnie zamordował go i jego zwłoki porzucił przy lesie. Gdy mieszkańcy wsi szukali zaginionego zobaczyli pod lasem stado psów. Okazało się, iż psy te pilnowały ciała Gabriela przed dzikimi zwierzętami. Przyniesiono odzyskane zwłoki do wioski i pochowano w grobie ziemnym. Po czterdziestu latach wybuchła epidemia i potrzebne były miejsca pod nowe pochówki. Zaczęto rozkopywać stare groby, a gdy dotarto do mogiły Gabriela okazało się, że jego ciało jest w niezmiennym stanie. Uznano to za cud i umieszczono jego zwłoki w świątyni. Ta niestety uległa pożarowi, podczas którego ogień sięgnął ręki Gabriela. Po pewnym czasie spalona skóra odzyskała swój pierwotny wygląd. Uznano to za kolejny dowód na mający miejsce cud.



*Muzeum Kultury Materialnej „Baćkauszczyzna”*

I tak oto rozpoczęliśmy dzisiejszy dzień od otarcia się o prawdziwe cudy. Ciekawe jak będzie dalej? Teraz jedziemy do miejscowości Ryboły, o której już nieco słyszeliśmy. Ciekawi nas utworzone tam Muzeum Kultury Materialnej „Baćkauszczyzna”. Gdy docieramy wreszcie na miejsce widoczny budynek wygląda jak każdy inny. Trzeba zatem zajrzeć do środka. W drzwiach wita nas opiekująca się obiektem Matuszka Antonina Troc-Sosna. Opowiada nam o tym miejscu, o tym w jaki sposób zgromadzono tu tak wielki zbiór (ponad 2 500 eksponatów). Później proponuje by każdy rozejrzał się i jeśli coś go zaciekawi zapytał o daną rzecz. Tak było najlepiej. Zgromadzono tu tak wiele eksponatów, że są one dosłownie upychane po wszystkich możliwych kątach. Dlatego są one często pomieszane i wygląda to jak w typowym wiejskim sklepie – *smar, mydło i powidło*. W zasadzie znajdziemy tu wszystko o czym pomyślimy. Niektóre jednak eksponaty nas zaskoczyły. Bo któż nie widział np. zbiorów znaczków pocztowych. Ale dar Marii i Donata Makal to coś więcej niż zwykła kolekcja znaczków.

Po raz pierwszy widzę, że znaczki pocztowe układa się nie w szerokość a na wysokość. W gablotach widać dosłownie całe kilkucentymetrowej wysokości stosy znaczków. Jest ich po kilkadziesiąt sztuk z jednego wzoru. A wzorów tych są setki jeśli nie tysiące. Coś niesamowitego. Czegoś takiego na pewno nie spodziewaliśmy się tutaj zobaczyć.

Chodząc tak po kolejnych izbach natknąłem się na zbiór znaczków rajdowych! Okazało się, że jest to kolekcja dokumentująca imprezy organizowane w parafii, ale nie tylko. Pełnym zaskoczeniem była obecność w takim miejscu ładnego, puszystego, białego kota leżącego sobie na łóżku. W zasadzie nie powinniśmy się temu dziwić, wszak kot w wiejskim domu to rzecz normalna. Ten jednak kot okazał się sztuczny, choć wyglądał jak prawdziwy. Wśród eksponatów dojrzelśmy stare fotografie. Jedna z nich przykuła naszą uwagę. Przedstawiała ona grupę ludzi na wycieczce w lesie. Widoczek ten był firmowany przez Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.



*Święty kąt*

Najciekawszym jednak miejscem jakie wypatrzyliśmy był kąt w jednym z pokoi. Na stoliku dostrzegliśmy wiele przedmiotów związanych z religią, nad nim wisił święty obraz, a wszystko było pięknie udekorowane kolorowo wyszywanymi tkaninami. Zapytana o to Matuszka wyjaśniła nam, że jest to tzw. „święty kąt”, czyli domowy ołtarzyk, przy którym można było się pomodlić. Ponieważ było to

najważniejsze miejsce w domu, wyróżniało się ono nagromadzeniem świętych obrazów. „Święty kąt”, jako tak ważne miejsce zarówno w domu jak i w życiu jego mieszkańców, nie mógł znajdować się byle gdzie. Aby znaleźć odpowiednie dla niego miejsce, jeszcze przed budową domu na łąkę, na której miał on być wzniesiony, wypuszczano stado owiec. Gdy te zmęczone układały się by odpocząć zaznaczano wybrane przez nie miejsce i w nim właśnie powstawał domowy ołtarzyk. Należało tylko tak postawić dom, by miejsce to znalazło się w kącie pokoju.

W zasadzie gdy przybył proboszcz, Grzegorz Sosna, wszystko już wiedzieliśmy. Chociaż dodał on jeszcze kilka przegapionych przez jego małżonkę faktów. Żegnając się zauważyliśmy zawieszoną na drzwiach wejściowych karteczkę z bardzo ciekawym napisem. *Zapraszamy codziennie od świtu do zmroku*. Nie ma zatem sztywnych godzin na odwiedzanie tego miejsca.

Teraz czekała nas niespodzianka. Zostaliśmy zawiezieni do miejscowości o nazwie Cieluszki. Opuściliśmy autobusy, które pojechały na koniec zabudowań a nam pozwolono na spokojny spacer, podczas którego mogliśmy podziwiać piękno drewnianych domów. Wiele z nich miało okna czy drzwi ozdobione drewnianymi listwami wyglądającymi jak koronki. Ci, którzy wykonywali te caczuszka musieli poświęcić na nie dużo czasu, musieli także wykazać się cierpliwością. Idąc tak przez wieś czuliśmy, że czas płynie tutaj nieco wolniej. Mieszkańcy siedzieli przy stołach w ogrodach swoich domostw. Obok nich spały leniwe koty. Na widocznych polach spacerowały pomiędzy końmi bociany. Od czasu do czasu któryś z mieszkańców częstował nas zerwanymi właśnie z drzewa owocami. Atmosfera była taka, że gdy poinformowałem idących obok mnie, iż udało mi się sfotografować komara w locie wszyscy chcieli zobaczyć to zdjęcie. Nie dowierzali bowiem, że było to możliwe. A jednak! Jakież było ich zdumienie gdy na pokazanym zdjęciu ujrzeli jegomościa pędzącego na motorowerze marki „Komar” zamiast fruującego krwiopijcę.



*Pięknie zdobione domy we wsi Cieluszki*

Ponieważ tematem dzisiejszej wycieczki jest prawosławie nic dziwnego, że znowu jesteśmy w cerkwi. Tym razem dotarliśmy do miejscowości Puchły, w której to pierwszą świątynię wzniesiono pod koniec XVI wieku. Obecna ma ledwie sto lat. Przekazy mówiące o powstaniu cerkwi łączą ten fakt z mieszka-

jącym tu kiedyś człowiekiem cierpiącym na opuchliznę. Został on uzdrowiony gdy na lipie ukazała się ikona przedstawiająca Matkę Bożą. To właśnie wydarzenie było przyczynkiem do powstania tutaj sanktuarium. Po świątyni oprowadził nas obecny proboszcz ks. Sławomir Troc. Oczywiście usłyszeliśmy kolejny raz jak wygląda taki obiekt i dlaczego akurat tak a nie inaczej. Myślę, że po dzisiejszym dniu nikt już nie zapomni tych podstawowych informacji. Ksiądz Troc okazał się bardzo pomocnym w wyjaśnianiu różnych niezrozumiałych do końca szczegółów. Wyjaśnił też nam dlaczego piękny chór widoczny na pięterku jest już nie używany. Rzecz jest banalnie prosta. Śpiewający w chórze są już na tyle wiekowymi ludźmi, że wejście po stromych schodach wiązało by się dla nich nie tylko z dużym wysiłkiem ale także ryzykiem doznania jakiejś kontuzji. Dlatego przygotowano dla nich małe podwyższenie w kącie naprzeciwko ołtarza. Świątynia ta w środku jest, jak wszystkie cerkwie, bardzo ładna. Jednak tym razem zaskoczył nas jej widok z zewnątrz. Całość pomalowano bowiem na niebiesko, w różnych odcieniach. Wygląda to jak obrazek z bajki. Gdy zauważyłem, że klucze do świątyni pochodzą pewnie z czasów jej budowy chciałem uwiecznić proboszcza na fotografii jak zamyka nimi Dom Boży. Zaczaiłem się zatem przy bramie i robiłem na wszelki wypadek zdjęcia każdej wychodzącej osobie w nadziei, że jest to właśnie proboszcz. Niestety w środku było jeszcze sporo uczestników wycieczki i to ich ciągle fotografowałem. Najzabawniejsze w tym wszystkim było jednak nie to, że zrobiłem kilkanaście zbędnych zdjęć, ale to jak wychodzący widząc przygotowany do strzału aparat robili uniki by wyjść mi z kadru i przemknąć bokiem. Ich dziwne pozy okazały się na tyle zabawne, że nagle niepotrzebne przecież fotografie okazały się bardzo fajne.



*Cerkiew w miejscowości Puchły*

Kolejna świątynia, do której dotarliśmy znajduje się w miejscowości Narew. Tym razem jest to kościół w parafii rzymskokatolickiej pw. Wniebowzięcia N. M. P. i św. Stanisława Biskupa i Męczennika. Jedyłą jego częścią nie wykonaną z drewna jest ołtarz główny. Pierwszy obiekt w tym miejscu powstał już w 1528 roku za wolą króla Zygmunta Starego i jego żony królowej Bony. Podczas gdy ksiądz opowiadał nam historię związaną z powstaniem świątyni zauważyłem, że wielu z nas, widząc sporo ciekawych a pięknych detali, stara się różnymi sposobami uchwycić je na zdjęciach. Postanowiłem wycelować swój aparat zamiast na wyposażenie kościoła właśnie na nich. Gdy później zrobiłem kolaż z



tych zdjęć wyszedł mi interesujący obraz dokumentujący poświęcenie oraz pomysłowość naszych współtowarzyszy wycieczki. Bardzo ciekawym obiektem była tutaj miniatura świątyni wykonana przez miejscowego kościelnego, który widząc nasze zaciekawienie opowiedział o swojej pracy i pokazał nam jak można poprzez ruchome okiennice i drzwi zajrzeć do środka miniatury.



*Cerkiew św. Mikołaja Cudotwórcy w Michałowie*

Gdy już myśleliśmy, że cały dzisiejszy dzień spędzimy na zwiedzaniu miejsc kultu religijnego spotkała nas miła niespodzianka. Poproszono nas o wyruszenie na krótki spacer polną drogą w stronę widocznego zbiornika wodnego. Zbiornik ten o powierzchni ponad 3 000 ha zabezpiecza także wodę dla potrzeb istniejącej tu elektrowni wodnej o mocy 165 kW. Oba wspomniane obiekty mają wspólną nazwę *Siemianówka*. Gdy staliśmy na zaporze wsłuchani w opowieść o tym miejscu przyfrunęły gołębie, które sprawiały wrażenie, jakby też słuchały słów przewodniczki.

Trzeba przyznać, że ten krótki spacer dobrze nam zrobił. Tego właśnie nam było trzeba. Pozwoliło to na przetrwanie kolejnego przejazdu autobusem do miejscowości Michałowo. Patrząc na usytuowaną na górze cerkiew św. Mikołaja Cudotwórcy, a właściwie na jej złote, świecące w słońcu kopuły, musieliśmy przymykać oczy. Blask bijący od nich był niesamowity. Pytany o to ksiądz zdradził nam tajemnicę, że gdy wymieniano pokrycie wszystkich kopuł, użyto specjalnego środka, który daje gwarancję na trwałość powłoki przez bardzo długi czas. To właśnie on powoduje, iż mimo upływu czasu kopuły wyglądają jakby były wykonane w dniu wczorajszym. Ksiądz mitrat Jan Jaroszuk opowiedział nam nieco o życiu w parafii, o swojej rodzinie oraz pozwolił wykonać pamiątkowe zdjęcie.

Wracając do Supraśla trafiliśmy na sejmik bociani. Tyle bocianów na raz dawno nie widziałem. Po chwili dostrzeżliśmy w oddali drugie stado. Gdy jednak podjechaliśmy bliżej bociany okazały się stadem krów. Dobrze, że nie potrafią one fruwać.

Zanim wróciliśmy do miejsca zakwaterowania wywieziono nas do lasów nad Zalewem Ozierany. Organizatorzy przygotowali nam biesiadę przy ognisku. Miała ona zastąpić tradycyjną kolację. Był to znakomity pomysł. Zwłaszcza, że pogoda nam sprzyjała. Gdy tylko zapadł zmrok rozpalono wielkie ognisko. Wkrótce zrobiło się cieplutko. Pod jedną z wiat przygotowano miejsce do tańców. Potem zaproszono wszystkich do stołów by tam spokojnie mogli skosztować przygotowanych miejscowych specjałów. I nie były to tylko chleb ze smalcem i ogórkami. Były smażone na tłuszczu małe placuszki, był ciekawy w smaku chleb, zapiekanka z ziemniaków, różne wędliny oraz miejscowy napitek. Trzeba przyznać, że zapachy unoszące się w powietrzu były tak zachęcające, iż nie sposób było się opierać. Skosztowaliśmy to i owo i muszę przyznać, że niektóre potrawy naprawdę były wyśmienite. Nic dziwnego, iż w tak miłej atmosferze wymianie wrażeń nie było końca.



*Ognisko nad Zalewem Ozierany*

W piątek 23 sierpnia 2013 r. dzień rozpoczęliśmy, tak jak wczoraj, od sesji krajoznawczych. Ja wybrałem panel przyrodniczy. Zdzisław Szkiruć z Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Białymstoku uświadomił nam o jak wielki teren chodzi. Na zarządzanym obszarze trzech województw znajdują się puszcze: Romincka, Borecka, Augustowska, Knyszyńska, Białowieska, Kurpiowska, Pilska i Borecka.

Oczywiście jest zasadnicza różnica pomiędzy drzewostanem występującym tutaj gdzie dominuje sosna a drzewostanem do jakiego ja przywykłem mieszkając na Dolnym Śląsku gdzie gatunki tutaj uważane za podstawowe są traktowane jako te mniej atrakcyjne. Jednak to jakie gatunki przeważają zależy od jakości gleby. Na omawianym terenie utworzono aż cztery Parki Narodowe: Wigierski, Białowski, Narwiański i Biebrzański. Są tu parki krajobrazowe, obszary Natura 2000 oraz Leśne Kompleksy Promocyjne. Tak wielkie obszary chronione pozwalają na przebywanie wielu rzadkich gatunków zwierząt. Żyje tu ponad 700 żubrów, 8000 łosi, 180 wilków i 70 rysi. Tylko pozazdrościć.

W korytarzach Centrum Edukacji w Supraślu, a więc miejscu, w którym słuchaliśmy wykładów, można było obejrzeć kilka wystaw krajoznawczych. Swoje zbiory prezentowali Wojciech Kowalski z Lublina, Ryszard Zwierzyna z Lubawki i Zbigniew Lewandowski z Warszawy. Warto było obejrzeć je, przynajmniej częściowo. Naprawdę były ciekawe.

Dzisiaj, zanim wyjedziemy na wycieczkę autokarową, poprowadzono nas na spacer po Supraślu. Wreszcie będziemy mogli zobaczyć jak wygląda to małe miasteczko. Bardzo ciekawiła nas sama cerkiew jednak obiecano nam czas wolny w niedzielę kiedy będziemy mogli zejść tu podczas mszy. Dlatego poszliśmy obejrzeć Dom Ludowy. Niestety jest on w remoncie i ograniczyliśmy się do rzucenia nań okiem. Ci, którzy byli już tu kiedyś wspominali coś o restauracji mieszczącej się w tym obiekcie. Ponoć słynie ona z podawanych tam pierogów. Gdy idący przede mną zaczęli machać rękoma nie wiedziałem o co chodzi. Okazało się, że w mijanej piekarni wisi reklama chleba pieczonego według staropolskiej receptury. Chleb ten nazywa się Krzysztof!

Najpiękniejszym obiektem jaki ujrzeliśmy okazał się pałac Adolfa Buchholtza. Faktycznie to prawdziwe cacko wyróżniające się na tle sąsiednich uliczek. Niestety, ze względu na prowadzone prace remontowe, jego zwiedzanie jest nieco utrudnione. Czekając na przyjazd autobusów, bardziej z nudów niż z ciekawości, zerkaliśmy na rozłożone tutaj stragany. Jakież było nasze zdziwienie gdy zobaczyliśmy ceny wyłożonych tu ciastek. Były one tak niskie, że większość z nas kupiła po kilka opakowań, nawet gdy tego nie potrzebowała. Dzięki temu w dalszej drodze częstowano się wzajemnie aż do zjedzenia ostatnich smakołyków.

Dobrze, że wkrótce czekał nas spacer bo byśmy całkowicie zasiedzieli się po takiej degustacji. Najpierw stanęliśmy przy miejscu pochówku 46 powstańców listopadowych poległych w bitwie nad rzeką Sokołdą 7 lipca 1831 r. Miejsce to jest niezwykle zadbane. Aż cieszy jego widok, gdyby oczywiście nie fakt, że leżą tu ludzie, którzy oddali swoje życie za Ojczyznę. Pierwotne miejsce pochówku powstańców znajduje się kilkadziesiąt metrów dalej, przy drodze. Ponieważ było ono w obniżeniu ruchliwego traktu w 2010 roku dokonano ekshumacji i przeniesiono powstańców na obecne miejsce.



*Miejsce pochówku powstańców listopadowych poległych w bitwie nad rzeką Sokołdą*



*Arboretum na Kopnej Górze*

Widoczny za miejscem pamięci las to Arboretum na Kopnej Górze im. Powstańców 186 r. Utworzono je w Nadleśnictwie Supraśl. Na pow. 26 ha stworzono tutaj coś w rodzaju ogrodu botanicznego o charakterze leśnego parku. Wszystkich urzekły rośliny występujące w zbiornikach wodnych. Ich bogata kolorystyka, a zwłaszcza fakt kwitnienia zachęcił nas do robienia wielu fotografii. Nie przeszkodził nam w tym nawet padający deszcz. Chociaż byliśmy radzi gdy w końcu dotarliśmy do budynekczku mieszczącego *Małe Muzeum Historii Puszczy Knyszyńskiej*. Zgromadzono w nim to co znaleziono podczas prac na terenie puszczy. Jest tutaj nawet niewielka armata, którą jakoś wciągnięto po stromych schodach na pięterko. Ponieważ obiekt ten jest faktycznie bardzo mały nawet niezbyt liczne grupy muszą być oprowadzane po nim na raty.



*Bociany w Silvarium*



*Mieszkaniec Silvarium*

W Nadleśnictwie Krynk, w Poczopku, powstało *Silvarium* – unikalny w Polsce leśny ogród. Po wejściu na teren ośrodka od razu rzuca się w oczy wielka ilość chodzących bocianów. Okazuje się, że stworzono tu specjalne przytulisko, w którym przebywają zwierzęta chore i okaleczone, a więc takie, które same nie przetrwałyby na wolności. Są tu także ptaki drapieżne a nawet mały wilczek odrzucony przez matkę z powodu jego choroby. Na terenie ośrodka ustawiono wiele ciekawych pomników i rzeźb. Są tu także różnego rodzaju zegary. Bardzo ciekawą sprawą jest utworzenie sztucznego 120-metrowej długości strumyka, wzdłuż którego prowadzi ścieżka edukacyjna. Ścieki powstałe w całym ośrodku odprowadzane są do oczyszczalni hydrobotanicznej o powierzchni 400 metrów kwadratowych. Natomiast do ogrzewania wykorzystuje się ciepło pozyskane z pomp ciepła. W *Silvarium* zoba-

czyliśmy nie tylko okazy zwierząt tu występujących, czy np. największy żołądź na świecie, ale także Bufosławę – największą i najpiękniejszą ropuchę w Europie. Oczywiście ponad metrowej wielkości ropucha jest wykonana z kamienia. Nie przeszkadza to jednak paniom by próbowały sprawdzić pocałunkiem czy przypadkiem nie zamieni się ona w przystojnego księcia. To jednak tak nie działa. Tylko trzykrotny pocałunek może sprawić zamianę w księcia lub księżniczkę. Dotyczy to jednak zamiany duchowej osoby całującej ropuchę.



*Najpiękniejsza ropucha w Europie – Bufosława*

Czekając aż wszystkie chętne do pocałunku Bufosławy panie dotrą na miejsce zbiórki patrzyliśmy z niepokojem na nadciągające czarne chmury. Oby nie przyniosły one deszczu. Niestety przyniosły. A do autobusów pozostawionych na parkingach mamy około kilometra leśnej drogi. Nie czekamy. Ruszamy powoli chowając się pod gałęziami drzew. Deszcz wciąż przybiera na sile. Wkrótce tak leje, że nie ma co się chować. Trzeba jak najszybciej dobiec do autobusu. Oczywiście, jak to w życiu bywa, gdy dotarliśmy na parking deszcz ustał. A my jesteśmy i mokrzy i cali w błocie. Próbuje więc doprowadzić się do porządku i gdy wyglądamy jako tako wsiadamy do naszych pojazdów.

Jedziemy do miejscowości Kruszyniany. To tutaj będziemy mieli okazję zobaczyć obiekt jakiego jeszcze nie widzieliśmy podczas naszych wycieczek. Chodzi o prawdziwy meczet, czyli świątynię tatarską. Faktycznie gdy zajeżdżamy na miejsce widzimy drewniany obiekt pomalowany w całości na zielono. Budowla otoczona niskim kamiennym murkiem jest malutka. Zanim wejdziemy do środka, zgodnie z panującymi tu zasadami, zdejmujemy buty. Meczet podzielony jest na dwie części. Jedną przeznaczoną dla dzieci i kobiet, drugą dla mężczyzn. Dzisiaj jednak, jako turyści, wszyscy gromadzimy się w części dla mężczyzn. Opiekujący się tym obiektem wprowadza nas w tajniki wiary wyznawanej przez Tatarów. Gdy wiemy już wszystko ruszamy obejrzeć usytuowany nieco dalej mizar czyli cmentarz. Na czas swojej nieobecności prowadzący nas Dżemil wieszka na drzwiach mizaretu karteczkę. Ponieważ dawny tekst *Zaraz wracam – jestem na cmentarzu* był często źle rozumiany, teraz zostawia karteczkę *Wracam za 15 minut*.



*Meczet w Kruszynianach*

Po drodze Dżemil opowiada nam wiele kawałów. Prawie wszystkie dotyczą teściowych. Jedne są mniej subtelne, inne bardziej. Aby przybliżyć nieco poczucie humoru prezentowane przez naszego przewodnika podam jeden z zasłyszanych dowcipów. Moja teściowa to anioł – mówi kolega do kolegi, a moja jeszcze żyje – odpowiada drugi.

Po zwiedzeniu takich nietypowych dla nas obiektów jesteśmy zaproszeni na poczęstunek do tatarskiego domu państwa Dżennety i Mirosława Bogdanowiczów. Na ziemi nadanej ich przodkom przez króla Jana III Sobieskiego prowadzą oni agrogospodarstwo *Tatarska Jurta*. Można tutaj zarówno dobrze zjeść jak i przenocować. My zostaliśmy poczęstowani specjalnym rodzajem herbaty i ciastem o nazwie Czak-Czak. Co za zbieg okoliczności. Ciasto to to spory kopiec zlepionych ze sobą małych okruszków. Są one bardzo słodkie.

Pozyskane w Kruszynianach kalorie wypalamy idąc Szlakiem Ekumenicznym nad Zalewem Ozierany. Okazuje się, że dochodzimy do miejsca widzianego przez nas poprzedniego dnia gdy bawiliśmy się przy ognisku. Jesteśmy na Górze Ekumenicznej. Znajdują się tu dwa krzyże – katolicki i prawosławny oraz kamień z wrytym półksiężycem. Jest też coś w rodzaju ołtarza z wrytym napisem upamiętniającymi 80-lecie Lasów Państwowych. Ponoć miejsce to daje wszystkim, którzy tu przebywają, możliwość pozyskania spokoju na ciele i umyśle. Prawda jest jednak taka, że w powstaniu tego miejsca miały swój udział siły nieczyste. Wystarczy przyjść tu późno w nocy by spotkać diabła strzegącego swojego królestwa.

Wróciwszy do Supraśla byliśmy w tak dobrych nastrojach, że już nic nie mogło nas wyprowadzić z równowagi. A tu okazało się, że jeszcze czeka nas ognisko, muzyka i śpiewy. Nocne rozmowy i dobra zabawa pewnie trwałyby długo jednak zmęczenie zaczęło brać górę. Co chwilę widziałem jak niektórzy pod osłoną nocy wymykali się kierując swoje kroki w stronę noclegu. Gdy to samo postanowiły uczynić osoby będące ze mną dołączyłem do nich i niezauważeni (tak myślę) udaliśmy się na kwatery.

Dobrze, że wczoraj nie marudziliśmy zbyt i udało nam się trochę odpocząć. Ponoć dzisiejszego dnia mamy zaplanowanych wiele spacerów. Zanim jednak wyruszymy w trasę bierzemy udział w sesjach krajoznawczych. Mnie przypasował referat Izabeli Szymańskiej pt. *Różnorodność wyznaniowa rodu Radziwiłłów w świetle ich fundacji sakralnych na obszarze dawnego Hrabstwa Zabłudowskiego*. Muszę przyznać, że przedstawione w tym referacie fakty stawiają Radziwiłłów w zupełnie innym świetle i nie jest to dla nich wcale takie złe. Wielu bowiem przedstawicieli ówczesnych rodów zmieniło swoje wyznanie w zależności od potrzeb czy sytuacji politycznej w jakiej się znaleźli. Potrafili oni jednak przekazywać duże sumy na fundacje sakralne, zarówno prawosławne jak i katolickie.

Ciekawym okazał się być referat Szymona Bijaka *Krajoznawstwo – nauka czy nie?* Autor przytoczył nam wiele faktów, mitów i opinii, które były tak różne, tak rozbieżne, a czasami wręcz przeciwstawne, że tak naprawdę to każdy z nas, obecnych na sali, musi sam w sobie dokonać stosownej analizy i po zastanowieniu się nad dowodami za i dowodami przeciw zdecydować czym dla niego jest krajoznawstwo.



*Wykopaliska na terenie grodziska w Surażu*

Po sesji krajoznawczej wyruszamy na sobotnią wycieczkę. Docieramy do miejscowości Suraż, w której mamy obejrzeć miejsce usytuowania grodziska. Po wdrapaniu się na górę dostrzegamy kajakarzy płynących rzeką. Tym to musi być przyjemnie – myślimy sobie. Ale nie ma co im zazdrościć. Oni pewnie myślą tak samo o nas. Oglądamy hipotetyczne miejsce po grodzisku, gdy nagle słyszymy jakieś hałasy. Podchodzimy do widocznego wykopu i coś widzimy. W dole siedzą archeolodzy. To oni są tacy głośni. Okazuje się, że od jakiegoś czasu prowadzą w tym miejscu badania. Zaczynamy z nimi rozmowę i gdy ci mówią, że są z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN, okazuje się, iż niektórzy z nas mają coś wspólnego z ich wydziałem. Jakież jednak ten świat jest mały! Zostajemy poinformowani o odkryciach jakich dokonali oni tutaj w ostatnim czasie. Zglądamy do dołu czy nie wypatrzymy jeszcze czegoś ciekawego i żegnamy się z nimi życząc im dalszych sukcesów. Ruszamy za grupą, która w międzyczasie oddaliła się od nas. Suraż to jednak nie Białystok, nie zgubimy się. Zaraz zresztą jesteśmy przy kościele pw. Bożego Ciała gdzie dołączamy do grupy. Zwiedzamy kościół i jedziemy do Płonki Kościelnej miejscowości, w której postawiono pomnik przedstawiający króla Jana III Sobieskiego. Niestety



mimo, że pomnik jest sporych rozmiarów trudno go sfotografować. Ustawiono go bowiem tak niefortunnie, że promienie słoneczne skutecznie przeszkadzają w dobrym ujęciu. Wielu z nas próbowało zrobić zdjęcie z dalszej czy bliższej odległości, pod różnymi kątami, z boku itp. Niestety chyba nikomu nie wyszło nic co nadawałoby się do prezentacji.

W Waniewie ruszamy w stronę widocznych traw rozciągających się aż po horyzont. Już myśleliśmy, że dalej się nie pójdzie gdy okazało się, że jednak jest to możliwe. Wykonano tu drewniane kładki, którymi można dojść do następnej miejscowości. Po drodze musimy przeprować się specjalnymi trawami. Jest przy tym nieco zabawy. Cały czas wokół widzimy szuwary trzcinowe. Teraz wiemy jak wyglądają Narwiańskie Bagna. Po dotarciu do końca kładek możemy z całym spokojem ustawić się w kolejkę by kupić lody. Co prawda organizatorzy nawołują do pośpiechu, ale co tam. Niech trochę poczekają. Przecież należy nam się odrobinka przyjemności.



*Trawy, trawy, trawy...*

Wreszcie wszyscy są zadowoleni. My, bo odpoczęliśmy nieco, organizatorzy, bo wreszcie jesteście wszyscy w autobusie. Udajemy się w dalszą drogę. Tym razem do miejscowości Choroszcz. Mamy tam obejrzeć kościół pw. św. Jana Chrzciciela i św. Szczepana Męczennika. Gdy docieramy do świątyni czeka na nas ksiądz, który opowiada bardzo ciekawe rzeczy. Na zewnętrznej ścianie wisi wielki obraz przedstawiający twarz Jezusa z całunu. Został on zachowany po zdjęciu z rusztowań zasłaniających ołtarz główny podczas przeprowadzania prac remontowych. Ponoć kiedyś przyszedł tutaj chłopak normalnie omijający świątynię. Po wyjściu z kościoła jego nastawienie do uczestniczenia w mszy świętej radykalnie się zmieniło. Pytany o przyczynę powiedział, że gdy siedział w ławce oczy Jezusa z wizerunku wpatrywały się w niego a on jakby słyszał głos Chrystusa, który mówił *Co ty człowieku robisz. Po co ty w ogóle żyjesz?*

Drugim obiektem jaki zobaczyliśmy w Choroszczy była letnia rezydencja Jana Klemensa Branickiego. Odbudowany pałac przeznaczono na Muzeum Wnętrz Pałacowych. I właśnie zgromadzone tutaj wyposażenie jest jego główną atrakcją. Bo samo otoczenie nie poraża. Chociaż są tu ciekawe detale ar-

chitektoniczne umieszczone na sąsiednich budynkach. Choćby głowa konia wystająca z zielonych pnączy porastających mur.

W Tykocinie zwiedziliśmy Muzeum z gabinetem Glogerowskim, odtworzoną apteką oraz rekonstrukcją ciekawego pieca garnkowego. Głównym jednak naszym celem była Wielka Synagoga. Wchodzimy do niej schodkami w dół czyli tak jak powinno się to robić (z głębokości wołam do Ciebie Panie). W środku nie ma wizerunku Boga, za to są malowidła przedstawiające kwiaty, zwierzęta, owoce czy ptaki. Słowa modlitwy uwieczniono kolorem czerwonym. Wizyta w tym obiekcie nie trwała długo ale dobrze, że tu dotarliśmy.

Teraz udajemy się pod pomnik hetmana Stefana Czarnieckiego a następnie do kościoła pw. Trójcy Przenajświętszej. Niestety musimy szybko opuścić świątynię gdyż zaraz zaczyna się msza święta. Idziemy w stronę zamku gdzie czekają już na nas. Przekraczamy rzekę Narew i zauważamy wysoki drewniany krzyż z napisem umieszczonym na przymocowanej doń tabliczce. Z tekstu dowiadujemy się, że tak upamiętnili swojego ojca Łukasza Górnickiego jego synowie. Tuż obok stoi drewniana rzeźba wystawiona w setną rocznicę urodzin Włodzimierza Puchalskiego – wybitnego przyrodnika.



*Odbudowany zamek w Tykocinie*

Wreszcie dochodzimy do zamku. Tykocińska warownia była swego czasu największą twierdzą nizinną Europy. Niestety zamek stopniowo rozbierany nie doczekał naszych czasów. Znalazł się jednak człowiek odważny, który kupił fundamenty i odbudował obiekt. To Jacek Nazarko. Obecnie możemy ponownie podziwiać „starą” warownię. Możemy także, tak jak dzisiaj, popatrzeć na pokaz strzelania ze starej broni. Po emocjach związanych z hukiem wystrzałów mamy czas by spokojnie skosztować przygotowanych dla nas specjalów.



*Pokaz kunsztu strzeleckiego*

No i wreszcie mamy niedzielę. Jest to ostatni nasz dzień. Trzeba koniecznie zobaczyć cerkiew Zwiastowania NMP. Zwłaszcza, że słyszę dzwony zwołujące wiernych na mszę. Gdy dochodzę do świątyni widzę jak na linach miota się człowiek wydobywający dzięki z dzwonów. Widok ten rozbawia mnie, jednak melodyjność słyszanych dźwięków jest fantastyczna. Zaraz ma rozpocząć się msza, udaję się więc do Muzeum Ikon gdzie dołączam do grupy i wspólnie zwiedzamy wspaniałą zgromadzoną tu zbiór. Jeszcze nigdy nie widziałem tak wielu ikon w jednym miejscu. A są one bardzo różne.

Wracając jednak do historii to powstanie klasztoru w Supraślu było dziełem przypadku. Otóż mnisi gdy postanowili wybudować swoją nową siedzibę puścili wodą krzyż, który zatrzymał się na zakolu rzeki, właśnie w miejscu gdzie dzisiaj mieści się klasztor. Powoli powstawały kolejne obiekty i dzisiaj mamy cały kompleks zabudowań.

Z samego ranka, ci którzy nie zwiedzali Supraśla uczestniczyli w sesji krajoznawczej poświęconej rozpoczynającemu się spotkaniu o nazwie CZAK „Kresy 2013”. Swoje referaty wygłosili tam: komandor CZAK-u kresowego Mieczysław Żochowski, Adam Dobroński, Halina Sugier, Tomasz Krzywicki, Andrzej Kłopotowski i Józef Partyka. I tak oto zakończył się nasz tegoroczny Zlot. Część z nas pojechała na Białoruś a pozostali powrócili do domów. Ja także wybieram się w podróż powrotną. Potrwa ona tylko 18 godzin. Dobrze, że w moją stronę jedzie jeszcze kilka osób, nie będzie nam się nudziło po drodze.

**Wydawca:**  
**Komisja Krajoznawcza Oddziału PTTK "Sudety Zachodnie"**  
**Jelenia Góra – sierpień 2013**  
**Tekst i foto: Krzysztof Tęcza**